

TO JEST FRAGMENT KSIĄŻKI
WYDANEJ NAKŁADEM

AGENCJI WYDAWNICZEJ



Z CAŁĄ NASZĄ OFERTĄ WYDAWNICZĄ MOŻNA
ZAPOZNAĆ SIĘ NA STRONIE:

agencjawydawniczapdn.pl



..... OPOWIADAMY O HISTORII MIEJSC, RZECZY I LUDZI

..... DOKUMENTUJEMY, BY OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

..... NASZE KSIĄŻKI DAJĄ WIEDZĘ I REFLEKSJĘ

agencjaPDN
wydawnicza

Stefan Alwin

BIAŁY KRUK

czyli dzieje jednego życia
między Prypecią a Odrą

Agencja Wydawnicza „PDN”
Zielona Góra 2016

Projekt okładki
Aleksandra Adamczyk

Redakcja i skład
Krzysztof Garbacz

Przypisy
Krzysztof Garbacz

Współpraca
Jadwiga Gromadzka i Zofia Wąsowicz

© Copyright by Jadwiga Gromadzka,
Zofia Wąsowicz i Marta Wieczorek 2016

© Copyright by Krzysztof Garbacz 2016

© Copyright by Agencja Wydawnicza „PDN”
Zielona Góra 2016

Wydanie I
Dodruk I 2019

ISBN 978-83-946239-0-6

Wydawca
Agencja Wydawnicza „PDN”
Zielona Góra
kontakt@agencjawydawniczapdn.pl
www.agencjawydawniczapdn.pl

Druk
Mazowieckie Centrum Poligrafii
ul. Słoneczna 3C
05-270 Marki

Zdjęcie na okładce
Stefan Alwin w Nadrzeczcu pod Biłgorajem podczas II wojny światowej

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być re-
produkowana i przetwarzana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody Agencji
Wydawniczej „PDN”.

Wprowadzenie

BIAŁY KRUK... oto historia, którą opowiedziało życie jednego człowieka, urodzonego przez nieznaną matkę w nieznanym miejscu, prawdopodobnie w okolicach Sarn na Wołyniu. Przyszedł na świat podczas pierwszej wojny światowej i gdy trafił do Wielkopolski z rejonu walk polsko-bolszewickich, był już pozbawiony tożsamości. O tym kilkuletnim dziecku nic nie było wiadomo, poza imieniem Stefan. Chłopcu wpisano do dokumentów symboliczną datę urodzenia: 15 kwietnia 1916, bowiem w tym dniu, ale w 1920 roku ochrzczono go w kaplicy śremskiego sierocińca. Pod koniec tego roku został adoptowany przez Szczepana i Wandę Alwinów, i od tego czasu jako Stefan Alwin stał się pełnoprawnym mieszkańcem Wielkopolski. Tu kształtował się jego charakter, tu też przeżył burzliwy okres dorastania, wielkiej fascynacji przyrodą i następnie okres studiów w Państwowej Szkole Ogrodnictwa w Poznaniu. Po uzyskaniu w 1935 roku tytułu zawodowego inżyniera objął w tej uczelni stanowisko asystenta.

Stefan Alwin kilkakrotnie próbował odkryć własne korzenie. Było to jednak bardzo trudne, ponieważ trafił do Wielkopolski bez nazwiska, w dużej grupie sierot przywiezionych z różnych stron Kresów Wschodnich. W tym celu zorganizował nawet w 1938 roku kajakową wyprawę na Polesie i dotarł do Sarn na Wołyniu, gdzie próbował odnaleźć tropy prowadzące do miejsca swojego urodzenia.

Po wybuchu II wojny światowej znalazł się w Lublinie. Następnie, po ślubie z Marią Staskówną, osiadł we wsi Nadrzecze koło Biłgoraja. Od 1941 roku prowadził tam suszarnię ziół i owoców. W Nadrzeczcu był świadkiem przemarszu i stacjonowania oddziałów partyzanckich różnych orientacji politycznych, opresyjnych działań hitlerowskich okupantów i zagrożenia ze strony lokalnych bandytów.

Przeżywał też osobiste dramaty. W 1944 roku został zaprzysiężony jako członek biłgorajskiego Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej. Jego działalność w strukturach podziemnych, kontynuowana po wejściu Armii Czerwonej do Biłgoraja, kończy się aresztowaniem i osadzeniem w miejscowym więzieniu. Stefan Alwin opisuje w książce ucieczkę z więzienia podczas akcji oddziału partyzanckiego, ukrywanie się w lasach biłgorajskich, ponowne aresztowanie, pobyt w więzieniu mokotowskim w Warszawie i skazujący go na 5 lat więzienia wyrok sądu wojskowego. Dzięki amnestii wychodzi wkrótce z więzienia i pod koniec lata 1945 roku wraz z żoną i dwiema córkami jedzie do Poznania. Tu kończy studia magisterskie na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego i zostaje asystentem w Katedrze Fitopatologii tej uczelni. Otrzymuje także zatrudnienie w Państwowej Szkole Ogrodnictwa, gdzie pracuje do momentu jej likwidacji w 1951 roku. Następnie podejmuje pracę w Wyższej Szkole Rolniczej, gdzie przez wiele lat pełni funkcję kierownika Katedry Techniki Ochrony Roślin. Ponadto jego dziełem była Pracownia Pomocy Naukowych, jedyna tego rodzaju placówka w kraju, która dostarczała różnego rodzaju materiały edukacyjne, głównie dla szkolnictwa ogrodniczego i rolniczego. Do 1956 roku był regularnie nękanym przez UB i namawianym do współpracy.

Stefan Alwin był nietuzinkowym nauczycielem akademickim i wychowawcą młodzieży. Organizował piesze i rowerowe wędrowki oraz spływy kajakowe, w trakcie których uczył studentów przyjaznego obcowania z przyrodą i jej wnikliwej obserwacji. Był uznanym wśród naukowców specjalistą w dziedzinie entomologii i ochrony roślin, autorem publikacji naukowych, wśród nich kilku książek, a także promotorem kilkudziesięciu prac magisterskich. Opracował receptury pestycydów zwalczających choroby roślin i szkodniki. Pasjonował się fotografią. Był kolekcjonerem chrząszczy oraz motyli, a jego zbiór liczył około 300 000 eksponatów. Posiadał także duży zbiór znaczków pocztowych o tematyce entomologicznej. Należał do Polskiego Towarzystwa Entomologicznego, Lubuskiego Klubu Przyrodników i Polskiego Towarzystwa Filatelistycznego. Ostatnie lata swojego życia spędził w podzielonogórskiej wsi Bojadła, gdzie dzielił się fachową wiedzą ogrodniczą z mieszkańcami okolicznych miejscowości przy zakładaniu i pielęgnacji przydomowych ogródków ozdobnych. Prowadził też pogadanki w zielonogórskim radiu.

Po ukończeniu 76 lat, profesor Alwin, za namową swoich dawnych studentów, przystąpił do pisania swojej ostatniej, tym razem wspomnieniowej książki. Rękopis pamiętnika był gotowy w grudniu 1993 roku.

Latem 1996 roku, podczas odwiedzin wnuka Tomasza Gromadzkiego wraz z żoną Lucyną, studentką Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Gdańskiego, powstał pomysł przepisania przy pomocy komputera rękopisu i podjęcia próby przygotowania edytorskiego tekstu jako pracy magisterskiej. Autor *Białego Kruka* zgodził się na to i obiecał przepisać pierwotny rękopis w sposób bardziej czytelny i przejrzysty (w tym czasie w pierwotnym rękopisie pojawiły się różne uzupełnienia, w miarę wydobywania ich z pamięci). W lutym 1997 przepisany tekst, liczący 477 stron rękopisu, został wysłany do Gdańska, wprowadzony do komputera i dwa lata później praca magisterska została obroniona w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Niestety, S. Alwin nie doczekał tego wydarzenia, bowiem zmarł 14 września 1997 roku. Pochowany został na cmentarzu parafialnym w Bojadłach.

Maszynopis pracy magisterskiej Lucyny Gromadzkiej został zdeponowany w Bibliotece Instytutu Filologii Polskiej UG, zaś tekst komputerowy *Białego Kruka* (bez przypisów L. Gromadzkiej) znalazł się w posiadaniu córek S. Alwina, które, po dokonaniu drobnych poprawek (dotyczących przede wszystkim błędnie odczytanych z rękopisu nazw niektórych gatunków roślin i owadów), sporządziły kilka jego kopii. Ta wersja, pod rozszerzonym tytułem *Biały Kruk czyli dzieje jednego życia między Prypecią a Odrą*, była przeznaczona dla najbliższych członków rodziny i przyjaciół. Przez następnych kilkanaście lat nic z tym tekstem się nie działo. Aż do roku 2015.

Na ślad Stefana Alwina, człowieka, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, natrafiłem w 2006 roku, kiedy zbierałem materiały do książki o biłgorajskich kapliczkach i krzyżach przydrożnych. Idąc śladem fotografii przedstawiającej niedużą kapliczkę kłodową i podpisanej na odwrocie „Kapliczka przydrożna w Nadrzeczcu”, dotarłem do samej, niedużej wsi Nadrzeczce, położonej pośród lasów, w pobliżu szosy asfaltowej łączącej Biłgoraj z Lublinem. Na tę fotografię zwróciłem uwagę przeglądając pamiątki po moich dziadkach, wśród których znajdowały się zdjęcia przedstawiające zbieranie, suszenie i transport ziół z Nadrzeczca i Rap Dylańskich do hurtowni „Społem” w Biłgoraju. W czasie rozmowy prowadzonej ze starszymi miesz-

kańcami wsi padło nazwisko Alwina – fotografa, „co w suszarkach był” i dokumentował pracę w miejscowej suszarni ziół i owoców. Tę sytuację opisałem w jednym z rozdziałów wspomnianej książki o kapliczkach i krzyżach przydrożnych.

Dopiero w 2014 roku, za sprawą wspomnieniowego artykułu Barbary Buczek-Płachtowej pt. *Moje wojenne dzieciństwo*, zamieszczonego w tomie piątym publikacji *Nad Tanwią i Ładą*, otworzyła się droga do wyjaśnienia zagadki związanej z autorstwem „alwinowych” fotografii. Autorka opisała swój pobyt w domku w Nadrzeczcu, w którym podczas wojny mieszkali Maria i Stefan Alwinowie, bliscy znajomi jej ojca Edwarda Buczka, zakonspirowanego fotografa Armii Krajowej, działającego na terenie Obwodu Biłgoraj. Zebranie kilku publikacji wspominających profesora Alwina ułatwiło mi rozwiązanie zagadki dotyczącej biografii autora „odkrytych” przeze mnie fotografii z czasów okupacji. Jak się okazało – biografii niepełnej – bowiem już po ukazaniu się mojego artykułu *Śladami fotografii sprzed lat*, w 2015 roku dotarłem, z pomocą ks. Roberta Kufla z Zielonej Góry, do najbliższej rodziny bohatera tej książki. Dzięki życzliwości córek S. Alwina, Jadwigi Gromadzkiej i Zofii Wąsowicz, mogłem zapoznać się z wydrukiem komputerowym jego wspomnień. I wtedy powstał pomysł opublikowania ich w postaci książki wzbogaconej fotografiami oraz innymi dokumentami z archiwum rodzinnego.

Wiele tu szczegółów z życia osobistego poznańskiego przyrodnika i jego najbliższej rodziny, w dużym stopniu nasyconych dramatyzmem. Poprzez opis wydarzeń, których uczestnikiem lub obserwatorem był sam autor, książka przybliży także obraz przedwojennej, okupacyjnej i PRL-owskiej rzeczywistości. We wspomnieniach przewija się wiele postaci naukowców przyrodników, ludzi czasów okupacji i okresu powojennego, a więc żołnierzy-partyzantów, a także ich późniejszych prześladowców.

W przypisach, których część przygotowywałem przy współpracy J. Gromadzkiej i Z. Wąsowicz, zawarłem biogramy osób i opisuję miejsca „między Prypecią a Odrą”, o których wspomina Stefan Alwin. Istotne też było uzupełnienie narracji autora o opisy przybliżające przebieg wydarzeń, zwłaszcza z czasów II wojny światowej, a także prostujące niektóre jego relacje, nie zawsze wiernie odzwierciedlające stan faktyczny. Próbując zweryfikować część opisów zdarzeń z okresu okupacji hitlerowskiej i po jej zakończeniu, starałem się wykorzystać źródła drukowane oraz niepublikowane, które znaj-

w dyspozycji IPN-u, bowiem spora część dokumentacji to ich odpisy. Odnosi się to głównie do protokołów z przesłuchań prowadzonych w 1945 roku przez lubelskich i warszawskich funkcjonariuszy UB. Ustalenie wiarygodności zeznań autora wspomnień wymagałoby dotarcia do innych materiałów źródłowych z tego czasu. Wiadomo, że niektóre dokumenty zostały zniszczone przez Wojewódzkie Urzędy Spraw Wewnętrznych w Lublinie i Poznaniu w czasie brakowania archiwaliów. Brakowanie dotyczyło zarówno osób z kręgu S. Alwina, jak i jego samego, kilkakrotnie poddawanego przez funkcjonariuszy UB i SB presji w celu nawiązania współpracy. Pisze o tym sam autor, a na ślady świadczące o zainteresowaniu jego osobą ze strony tych służb można natrafić w archiwum IPN-u.

Zdarza się, że S. Alwin podaje informacje, które wymagają gruntownego zbadania i skonfrontowania z innymi źródłami. Dotyczy to okresu działalności konspiracyjnej i sytuacji po wkroczeniu Armii Czerwonej, kiedy struktury Armii Krajowej wskutek zdrady zostały rozbite i wiele osób trafiło do więzienia. Uwaga ta odnosi się też do sprawców bandyckich napadów, w przypadku których znane są mi jedynie relacje samego autora książki. Zresztą wyjaśnienie tych i innych wątków, które wymagają dogłębnych studiów historycznych, wykraczało poza ramy opracowania edytorskiego, przyjęte dla niniejszego wydawnictwa. W tej sytuacji konieczne było wprowadzenie zabiegów, które miałyby utrudnić identyfikację niektórych bohaterów wspomnień, jednocześnie zachowując zasadę, by ingerencję w oryginalny tekst autora ograniczyć do niezbędnego minimum.

Krzysztof Garbacz

Wstęp

A więc zacznijmy od końca.

Koniec mojego życia zaczyna się powoli, ale wyraźnie i skutecznie zbliżać. Już raz upadłem na ziemię, bo mi się zakręciło w głowie, a kręci mi się coraz częściej. Moja córka Zosia, przy okazji swojego przyjazdu do Bojadeł, wysłała mnie do lekarza, u którego już dawno nie byłem, a ten zmartwił się zobaczywszy mnie po upływie roku od ostatniej mojej wizyty u niego i powiedział, że te niepożądane objawy u mnie to są sprawy miażdżycowe, a więc w moim wieku (mam 76 lat) już nieodwracalne. Zapisał mi więc kupę lekarstw i... kazał mieć się na baczności. Poradził ściągnąć do Bojadeł kogoś bliskiego z rodziny i poddać się czyjejś opiece, a przynajmniej czyjejś obecności przy sobie, bo mogą znowu się przewrócić i uderzyć przy tym głową np. o kant stołu czy łóżka.

Muszę tu wyjaśnić, dlaczego w ogóle zabrałem się do pisania swoich wspomnień życiowych. Od pewnego czasu moi różni znajomi, dawni koledzy z pracy, moi byli studenci, a nawet mój ukochany profesor botaniki i dendrologii, zmarły już Konstanty Stecki (światny gawędziarz), namawiali mnie, ażebym opisał dzieje mojego życia, tak bogatego w różne wydarzenia i epizody. Ale ja zapierałem się przed tym ze wszystkich sił rękoma i nogami, bo... po prostu ja nie lubię pisać. Wprawdzie uprawiam bogatą korespondencję ze znajomymi, napisałem w życiu sporo publikacji (bo byłem przyciśnięty koniecznością!), ale prawdziwego „natchnienia” do pisania raczej nigdy nie wykazywałem. Co prawda zawsze chętnie opowiadałem w gronie znajomych, względnie moich byłych studentów (najczęściej wieczorami, przy ogniskach) o moich przygodach i wydarzeniach

życiowych, ale opisywać tego nie miałem nigdy chęci. Po prostu brakowało mi „muzy”, która natchnęłaby mnie do pisania.

Kiedy już dożyłem wieku 76 lat, córka Zosia postanowiła nagrać na taśmie magnetofonowej moje co ciekawsze opowiadania. Ja już na to nawet wyraziłem zgodę. Aż tu w lutym 1992 roku, z okazji dorocznej sesji naukowej Instytutu Ochrony Roślin w Poznaniu, doszło ponownie do tradycyjnego mojego spotkania z dawnymi i bliskimi mojemu sercu Trampami, czyli wychowankami i towarzyszącymi moich licznych wypraw turystycznych po Polsce. Większość z nich nazywała mnie „tatą”. Ci właśnie wychowankowie, przy suto zastawionym różnymi smakołykami stole, przygotowali dla mnie niespodziankę, wręczając mi uroczyście książkę pt. „Biały Kruk”. Wzruszony bardzo przyjąłem książkę w czarnej okładce z białym tytułem, ale byłem ciekawy autora. Zaglądam więc do środka i co widzę: na pierwszej śnieżnobiałej stronie widnieje pięknie wypisana dedykacja: *Kochanemu Tacie życzymy natchnienia – TRAMPY – Poznań, 20 lutego 1992 r.* Wertuję dalej stronę po stronie, ale na nich nic nie widzę. Wszystkie strony są puste, jeszcze nie zadrukowane... Dopiero na tylnej obwolucie, spostrzegłem taką opowieść, wydrukowaną białymi czcionkami na czarnym tle:

Dawno temu (lecz nie za bardzo), między górami a morzem był sobie kraj rządzony przez króla pragnącego mieć wszystko co najlepsze. Kiedy więc do pałacu władcy przyszedł wędrowny sprzedawca zachwalający swoje najświetniejsze opowiadania, król zainteresował się ogromnie.

– Jest tylko jedna trudność – rzekł kupiec – moją książkę może odczytać tylko ten, kto ma gołębie serce, dużą wiedzę i inteligencję.

Nie chcąc się wystawić na próbę, król zawołał swoich ministrów, aby oni odczytali mu kilka opowiadań z tej frapującej książki. Każdy z nich, nic nie widząc na stronach, a nie chcąc uchodzić za nieuka, zaczął wymyślać własne historie, które bardziej lub mniej pasowały do piastowanego urzędu. Zastłuchany król, sądząc że w książce znajdzie wszystkie sposoby rządzenia krajem, zakupił ją od kramarza hojnie go wynagradzając. Od tamtego dnia rządził krajem tylko według tego, co wyczytał ze swej ulubionej książki...

Każdy z nas chciałby mieć w swej bibliotece prawdziwego „białego kruka” – książkę niepowtarzalną, niezwykle atrakcyjną i jedyną w swoim rodzaju. Przedrukowałem więc dla Was, Drodzy Czytelnicy, ten wspaniały, królewski rarytas. Może i Wy znajdziecie w nim coś dla

siebie? Jeżeli potraficie patrzeć na świat z przymrużeniem oka, to na pewno wykorzystanie tej książki nie sprawi Wam zbytej trudności.

Sens dedykacji wypisanej na pierwszej stronie stał się dla mnie zupełnie jasny: książkę o pustych stronach muszę zapisać ja sam... I w tym momencie mój upór został ostatecznie przełamany. Postanowiłem więc pisać...

Bojadła, 10 marca 1992 r.

1. Dzieciństwo

Urodziłem się... tak, rzeczywiście, urodziłem się, tylko nie wiem kiedy, gdzie i kto mnie urodził. A było to bardzo dawno, bo w czasie I wojny światowej. Moja pamięć tak daleko już nie sięga... Moje pierwsze, bardzo mgliste wspomnienia związane były z jakimś jak gdyby wiejskim gospodarstwem, z domkiem czy dworkiem(?) i ogrodem czy sadem porośniętym trawą. A na tej trawie ja chodziłem czy czołgałem się i zbierałem kawałki czegoś chropawego w kolorze brązowym. Jadłem to z ochotą bo bardzo mi smakowało i było mocno słodkie. Później, kiedy opowiadałem o tym moim przybranym rodzicom, mówiłem o jakichś słodkich „szyszkach”. Po latach dopiero uświadomiłem sobie, że to mogły być kawałki plastrów miodu z porozbijanych uli, bo działo się to... w czasie rewolucji bolszewickiej, która na drodze swojego pochodzenia niszczyła wszystko... Bolszewików, jako takich, nie pamiętam, tylko od małego bardzo się ich bałem i przy końcu 1920 roku, kiedy się już zaopiekowali mną przybrani rodzice, błagałem ich, żeby mnie czasem nie wydali bolszewikom. Czym spowodowany u mnie był ten strach przed bolszewikami – nie wiem do dzisiaj...

Rodziców nie pamiętam zupełnie. Może co nieco przewijał się w mojej pamięci obraz matki w szerokiej spódnicy... Ojca sobie zupełnie nie przypominam. A potem nastąpiła jakaś wędrówka poprzez gęstwiny czy lasy, gdzie w drodze dawał się odczuwać dokuczliwy głód i z tym wiąże się dziwne wspomnienie, że mnie, malca, ktoś czasem karmił. Kto? Może właśnie ci bolszewicy, których przecież tak się bałem.

Dalej pamięć moja zupełnie się urywa. Jest rok 1919 (chyba koniec lata). Wszystko to dzieje się daleko, na tzw. kiedyś Kresach

3. Chrzestna matka Stefana Alwina, ZOFIA MATUSZEWSKA z domu Jezierska (1889-1983) była córką bogatego handlowca. Wyszła za mąż za Seweryna Matuszewskiego (1879-1939), lekarza śremskiego, który po studiach w Berlinie i Monachium w 1905 r. obronił doktorat z medycyny. W tym samym roku osiadł na stałe w Śremie. W latach 1918-1919 był jednym z głównych organizatorów powstania wielkopolskiego, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości uczestniczył m.in. w pracy rady miasta, powiatu i sejmiku wojewódzkiego. Zofia i Seweryn Matuszewscy mieli czterech synów. Doktor, major Wojska Polskiego w stanie spoczynku, został rozstrzelany przez hitlerowców 20 października 1939 r. podczas masowej egzekucji dokonanej na rynku w Śremie. Jego żona zmarła 28 października 1983 r. i została pochowana na śremskim cmentarzu parafialnym.

Z. Tomczyk, *Nieznane fakty z życia dr. Matuszewskiego*, „Tydzień Ziemi Śremskiej”, http://www.tydzien.net.pl/asp/pl_start.asp?typ=13&menu=1&dzialy=1&akcja=artykul&artykul=5438; <http://sremfara.pl/wladyslawa,karabon,1968,drukuj.html>; *Dr Seweryn Matuszewski*, <http://www.geni.com/people/Dr-Seweryn-Matuszewski/6000000020736469116> [dostęp: 29.05.2015].

4. W archiwum rodzinnym, pozostałym po Marii i Stefanie Alwinach, zachowały się „informacje z dawnego SIEROCIŃCA w ŚREMIE i pisma Polskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża Okręgu Wielkopolskiego. Te ostatnie datowane są na 15 XI 20 i 23 XII 21 r. W pierwszym z nich jest mowa o możliwości wydania dziecka zainteresowanym pp. Alwinom pod warunkiem akceptacji określonych zobowiązań. W drugim jest mowa o przesłaniu pp. Alwinom świadectwa chrztu dziecka po wydaniu go przez ks. proboszcza Kaźmierskiego ze Śremu. Z Sierocińca w Śremie przybrani rodzice otrzymali list pisany przez niejaką siostrę Hiacynthę, która wyjaśnia, iż w dokumentach posiadanych przez nich nie ma żadnego zapisu o dziecku, poza stwierdzeniem, iż przyjechało do ich Zakładu w Warszawy razem z innymi sierotami. Brak informacji o dacie i miejscu urodzenia oraz imionach rodziców” (z listu Zofii Wąsowicz do Krzysztofa Garbacza, 11.08.2015, s. 1-2).

5. W tym czasie SZAMOTUŁY, położone na Pojezierzu Wielkopolskim, nad rzeką Samą, były niewielkim miastem, w 1921 r. liczącym 6772 mieszkańców. Najstarsza wzmianka o osadzie (targowej), nazwanej później Starymi Szamotułami, pochodzi z 1231 r. Pod koniec XIII lub na początku XIV w., w odległości około 2,5 km na południe od osady targowej, założono obecne miasto – Nowe Szamotuły, w którym dość wcześnie erygowano parafię św. Stanisława (wzmianka z 1306 r.). Na początku XVI w. Szamotuły były podzielone między dwa rody dysponujące własnymi rezydencjami feudalnymi. Starsza, w Świdlinie, należała do Szamotulskich, a młodsza została zbudowana po północnej stronie miasta w 1518 r. przez kasztelana poznańskiego Łukasza Górkę. W XVI stuleciu Szamotuły stały się ważnym ośrodkiem ruchu reformacyjnego, a założona przez Łukasza Górkę drukarnia w latach 1558-1569 wydała po polsku i czesku szereg dysydenckich książek. W 1793 r. Szamotuły, liczące 1120 miesz-

kańców, znalazły się pod zaborem pruskim. W drugiej połowie XIX w., po zbudowaniu linii kolejowej z Poznania do Szczecina, nastąpił rozwój przemysłu. Zbudowano tu m.in. fabrykę kabli, browar, odlewnię żelaza i fabrykę likierów. W czasie powstania wielkopolskiego w Szamotułach utworzono kilka oddziałów powstańczych, które przyczyniły się do wyzwolenia Wronek i Sierakowa spod okupacji niemieckiej. Po odzyskaniu niepodległości utrzymał się rozwój przemysłu, nastąpił też wzrost liczby ludności. Po wkroczeniu Niemców w 1939 r. mieszkańców Szamotuł dotknęły represje, w ramach których okupanci rozstrzelali publicznie 15 osób, a znaczną część obywateli miasta wysiedlili do Generalnej Guberni. Wyzwolenie spod okupacji hitlerowskiej miało miejsce 26 stycznia 1945 r.

Szamotuły, [w:] *Miasta polskie...*, s. 304-306.

6. KURONIÓWKA – potoczne określenie darmowego posiłku wydawanego na ulicach biednym Warszawiakom na początku lat 90. XX w. m.in. przez ministra pracy i polityki społecznej Jacka Kuronia. Następnie wyraz ten stał się synonimem zasiłku dla bezrobotnych.

Kuroniówka, <https://pl.wikipedia.org/wiki/Kuroniówka> [dostęp: 25.07.2015].

7. Poznańskie GARBARY to część Starego Miasta, zasadniczo przebiegająca wzdłuż osi północ-południe, a więc równoległe z ulicą Garbary. W średniowieczu znajdowała się tu długa i wąska osada służebna. Zajmowała ona teren po wschodniej stronie murów miejskich. Mieszkańcy osady trudnili się głównie oprawianiem skór (tzw. garbarnicy lub skórnicy). W XIX w. osada przekształciła się w dzielnicę Poznania z kilkupiętrowymi, reprezentacyjnymi kamienicami, które wzniesiono w duchu historyzmu. Później pojawiły się budynki secesyjne. Zabudowę mieszkalną uzupełniały liczne niewielkie zakłady przemysłowe, które często zakładano w podwórzach.

Garbary, [http://pl.wikipedia.org/wiki/Garbary_\(Poznań\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Garbary_(Poznań)), [dostęp: 5.06.2015].

2. Lata szkolne

W 1923 roku ojciec został służbowo przeniesiony do Leszna¹, gdzie pełnił funkcję starszego sekretarza Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy; pracował tu aż do momentu zlikwidowania urzędów PUPP, to znaczy do czerwca 1926 roku. Ojciec po zwolnieniu go z pracy początkowo nie otrzymywał emerytury, ponieważ nasze władze nie chciały mu zaliczyć do wysługi lat służby w niemieckim wojsku w czasie I wojny światowej. Ojciec procesował się z władzami w Najwyższym Trybunale Administracyjnym w Warszawie i sprawę wygrał, otrzymując w roku 1929 zwrot zaległej emerytury, co wynosiło wtedy kilka tysięcy złotych. Po utraceniu stałej posady państwowej przez jakiś czas ojciec pracował na kolei (chyba jako przetokowy), a później wrócił do swojego dawnego zawodu, otwierając w Lesznie warsztat malarski przy ul. Głębokiej 1 i prowadził go do roku 1936, dopóki nie ściągnąłem rodziców do Poznania.

W Lesznie mieszkaliśmy najpierw przy ul. Osieckiej 31 w starym budynku czynszowym na I piętrze. Ustęp był na półpiętrze klatki schodowej. Od strony podwórza ciągnął się długi, drewniany balkon, na którym lubiłem się bawić. Później przeprowadziliśmy się do lepszego domu przy ul. Poniatowskiego 9, gdzie mieszkaliśmy na I piętrze.

Matka przykładła bardzo dużą wagę do mego wychowania, jak również do uczenia mnie czytania, pisania i rachowania. A kiedy skończyłem już 7 lat, czas było posłać mnie do szkoły, ale ja w nauce byłem tak zaawansowany, że po egzaminie wstępnym przyjęto mnie od razu do II klasy w tzw. ćwiczeniówce, prowadzonej przy Seminarium Nauczycielskim Męskim, gdzie dyrektorem był dr J. Wowczak. W Lesznie było jeszcze drugie seminarium z ćwiczeniówką, a mia-



13. Stefan na wycieczce na poznańskim Sołaczcu na fotografii o. A. Kolbe (1926)

Matka moja, poza wychowywaniem mnie w duchu jak najbardziej religijnym, lubiła mnie także ładnie ubierać, oczywiście według własnego, bardzo swoistego gustu. Będąc z zawodu krawcową, szyla mi z fantazją specjalne ubranka wzorowane na ubiorach naszych sławnych postaci historycznych. Uszyła mi więc dwa kontusze kościuszkowskie; jeden koloru kremowego na lato, a drugi z sukna koloru bordo, obszyty szarym barankiem, na zimę. Pod szyją miałem zawiązany fioletowy żabot, a na głowie nosiłem rogatywkę z pawim piórem. Matka dumna z tej mojej super kreacji przechadzała się ze mną po różnych promenadach (leszczyńskie planty), żeby wszyscy mogli mnie podziwiać. Tymczasem ja cały czerwieńłem się ze wstydu, bo czułem się w tym ubraniu jak mała przybrana w kolorowe fatałaszk.



14. Mały Stefan w stroju kościuszkowskim

3. Studia ogrodnicze w Poznaniu

Od tej pory moje młodociane życie mocno skomplikowało się. W rękę pozostało mi świadectwo za pierwsze półrocze V klasy gimnazjalnej z oceną nieodpowiednią ze sprawowania... Rodzice byli tym moim „wyczynem” tak wstrząśnięci i przygnębieni, że nawet mnie wtedy nie bili. Wykupili za swoje pieniądze moje zamówione książki (do tej pory stoją one na półce mojej biblioteki i były po kolei oglądane przez moje trzy córki, a później przez wnuczęta...). Przez następne pół roku siedziałem zgnębiony w domu, nigdzie nie wychodząc, nic konkretnego nie robiąc, tylko czytając przyrodnicze książki. Do miasta nie wychodziłem, bo wstydziłem się przed moimi kolegami i znajomymi. Rodzice zamartwiali się bardzo moim dalszym losem i przemyślali nad dalszą dla mnie nauką. Myślano o umieszczeniu mnie w innym gimnazjum, może w Kościanie, a może w Poznaniu? Ale wszędzie trzeba się było wstydzić oceny nieodpowiedniej ze sprawowania. Rozwiązanie tej ciężkiej sytuacji znalazłem sam. W swojej przyrodniczej biblioteczce miałem ładnie wydany *Pamiętnik Jubileuszowej Wystawy Ogrodniczej w Poznaniu* (1926). Przy końcu książki, w dziale ogłoszeń i reklam, znalazłem ogłoszenie Państwowej Szkoły Ogrodnictwa w Poznaniu o przyjmowaniu kandydatów na trzyletni wyższy kurs ogrodniczy. Warunkiem przyjęcia do szkoły było świadectwo ukończenia VI klasy gimnazjum (tzw. wtedy mała matura) i wiek – skończone 16 lat. Miałem wtedy 15 lat i świadectwo za pierwsze półrocze V klasy gimnazjum. Ojciec mój pojechał do Poznania i wybrał się do dyrektora tej szkoły, Wacława Zembala, dla omówienia warunków przyjęcia mnie do PSO. Dyrektor doradził ojcu, żeby mnie umieścił na jeden rok gdzieś na praktykę ogrodniczą, a kiedy już skończę 16 lat może mnie przy-

jąc na kurs pierwszy, pod warunkiem zrobienia jeszcze w międzyczasie „małej matury”.

I tu zaczyna się zupełnie nowy etap mojego życia, życia dojrzałego i samodzielnego. Ja, oczywiście, skwapliwie zgodziłem się na propozycję dyrektora Zembala. Ojciec zawiózł mnie do Poznania i umieścił na stacji u swoich dobrych znajomych, państwa Ziółkowskich, prowadzących piekarnię przy ul. Mickiewicza. Na praktykę ogrodniczą (bezpłatną) zgłosiłem się do Ogrodów Miejskich, gdzie dyrektorem wówczas był Władysław Marciniak. I tak powoli zaczęła się tutaj kształtować moja kariera ogrodnicza. Inspektor Janicki najpierw skierował mnie na praktykę do Palmiarni Poznańskiej, której kierownikiem był stary i doświadczony ogrodnik Włodarczyk. Palmiarnia, ze swoim urzekającym bogactwem egzotycznej roślinności, okazała się doskonałym dla mnie miejscem. Zetknięcie się i zapoznanie z florą egzotyczną dla mnie, zaawansowanego już we florystyce krajowej, było przeżyciem bardzo głębokim. W ciągu pół roku poznałem wszystkie gatunki roślin rozmieszczonych w poszczególnych oddziałach palmiarni, a więc zarówno palmy, liany, kaktusy, paprocie drzewiaste, jak i rośliny wodne (np. wiktoria królewska *Victoria regia*, hiacynt wodny *Eichkornia crassipes*, pandon *Pandanus sp.* i wiele innych). Pracowałem z pełnym zapałem zarówno w samej palmiarni, jak i w mnożarce (szklarnia na zapleczu palmiarni). Wiedzę botaniczną opanowałem dzięki swojej doskonałej pamięci i to tak dokładnie, że zaimponowałem ukończonym już absolwentkom Państwowej Szkoły Ogrodnictwa, które po ukończeniu trzyletnich studiów podjęły pracę w Ogrodach Miejskich. Były to Anielka Witkowska (później Jackowska), Jadzia Wilczkowiakówna i Kryśka Krausówna. Z Anielką Witkowską zaprzyjaźniłem się serdecznie i utrzymywałem z nią kontakt także po wojnie, aż do jej śmierci. Doskonała znajomość roślin pochodzących ze wszystkich kontynentów towarzyszyła mi i ułatwiła późniejsze studia na uniwersytecie i w ogóle przez całe moje życie.

Z palmiarni, po upływie pół roku, przeniesiono mnie do Szkółek Miejskich przy ul. Dąbrowskiego (dzisiejsza pętla tramwajowa – od ul. Szamotulskiej aż do Cmentarza Jeżyckiego). Tutaj ciężka praca fizyczna porządnie dała mi w kość, ale nigdy się nie załamywałem, ani przed nikim nie użalałem. Noszenie we dwóch w drewnianych nosidełkach kamieni zbieranych z pola wyciągało ponad siły ścięgnię w nadgarstkach 15-letniego chłopaka. Kierownikiem szkółek

tzw. kwasu pruskiego, wyjaśniając przy tym, że jest to gaz tak bardzo trujący dla żywych organizmów, iż żaden nie przeżyje w nim dłużej niż 15 sekund. Ja na to wstaję i powiadam, że znam takie owady, które wytrzymają w cyjanowodorze dłużej niż 20 minut. Kosiński wprawdzie źle mnie zrozumiał, bo myślał o 20 sekundach, ale zaproponował mi zakład o butelkę wina krymskiego (przed wojną kosztowało 5 zł). Przyjąłem ten zakład i następnego dnia przyniosłem ze sobą na salę ćwiczeń żywego pływaka żółto brzeczka. Kosiński nastawił aparat Kippa, nasypał do niego cyjanku i zalał stężonym kwasem siarkowym. Reakcja nastąpiła gwałtownie i po otrzymaniu wysokiego stężenia cyjanowodoru, Kosiński wpuścił go do eksykatora z podskakującym wewnątrz pływakiem. Kosiński zaczyna powoli liczyć – raz... dwa... trzy... cztery..., aż do dwudziestu sekund, a pływak nic sobie z tego nie robił i rzucał się w eksykatorze jak oszalały – „zwałchał” zapewne, co go czeka! Ja spokojnie, z zegarkiem w ręku, śledzę dalej ruchy mojego pływaka, a Kosiński zrozumieć nie mógł, że pływak przestał się poruszać w najwyższym stężeniu kwasu pruskiego dopiero po 30 minutach, nie zaś po tyluż sekundach! I zakład wygrałem. Wiedziałem bowiem, że pływak pod pokrywami ma komory powietrzne, które w razie potrzeby, np. po zanurzeniu się w wodzie, zamykają się, a chrząszcz korzysta tylko z powietrza znajdującego się w komorach. A tego wystarczy mu na pół godziny...

1. PAŃSTWOWA SZKOŁA OGRODNICTWA w Poznaniu początkowo miała siedzibę przy ul. Noskowskiego 6. Szkoła powstała we wrześniu 1926 r. w wyniku przekształcenia Jednorocznych Kursów Ogrodnictwa, prowadzonych przy Katedrze Ogrodnictwa na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. Dyrektorem PSO od 1927 do czasu jej likwidacji w 1951 r. był Wacław Zembal (z przerwą podczas okupacji hitlerowskiej). W 1930 r. nauka odbywała się w drugiej siedzibie, przy ul. Śniadeckich 54/58, gdzie uczył się Stefan Alwin. W 1936 r. szkoła doczekała się własnej siedziby przy ul. Dąbrowskiego 159, gdzie przygotowano nowoczesnie urządzone sale wykładowe, dobrze wyposażone pracownie: chemiczno-ogrodniczą, botaniczną, fitopatologiczną, entomologiczną, miernictwa, ogrodnictwa ozdobnego, a także gabinety ze zbiorami. PSO była szkołą koedukacyjną typu wyższego, przed wojną podległą Ministerstwu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Wydawała informator dla kandydatów, w którym prezentując warunki kształcenia określiła zasady przyjęcia słuchaczy oraz ich prawa i obowiązki. W szkole istniała możliwość kształcenia na dwóch wydziałach: Ogrodnictwa Użytkowego i Ogrodnictwa Ozdobnego. Czas trwania nauki wynosił 3 lata. Rok szkolny dzielił się na dwa semestry, a od 1935 r. na trzy. Po rozwiązaniu PSO w 1951 r.

jej siedziba zostaje włączona do nowo powstałej Wyższej Szkoły Rolniczej. Od 1972 uczelnia ta przyjmuje nazwę Akademia Rolnicza, a od 2008 – Uniwersytet Przyrodniczy.

A. Dzieczkowski, *Zembał Waclaw*, [w:] *Wielkopolski Słownik Biograficzny*, Warszawa-Poznań 1983, s. 871; *Państwowa Szkoła Ogrodnictwa w Poznaniu*, informator za lata 1927, 1930 i 1937; https://pl.wikipedia.org/wiki/Uniwersytet_Przyrodniczy_w_Poznaniu [dostęp: 26.07.2015].

2. ŁAZARZ – dzielnica Poznania na osiedlu administracyjnym Św. Łazarz, utworzonym w XVI w. na terenie należącym do dawnego szpitala. Łazarz, włączony w granice Poznania w 1900 roku, graniczy od północy m.in. z Jeżycami, dzielnicą w której S. Alwin mieszkał, uczył się i pracował w okresie międzywojennym i po II wojnie światowej. W tej części miasta przy Parku Wilsona znajduje się Palmiarnia – ważne miejsce edukacji 15-letniego S. Alwina. Zespół urbanistyczno-architektoniczny Łazarza od 1982 roku figuruje w rejestrzeabytków.

Łazarz, [https://pl.wikipedia.org/wiki/Łazarz\(Poznań\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Łazarz(Poznań)) [dostęp: 24.07.2015].

3. WACŁAW ZEMBAŁ (1893-1952) był wieloletnim dyrektorem Państwowej Szkoły Ogrodnictwa i Ogrodu Botanicznego w Poznaniu. Urodził się w Dąbrowie Górniczej w rodzinie rzemieślniczej, w latach 1905-1912 uczęszczał do średniej szkoły handlowej w Będzinie, następnie studiował w Wyższej Szkole Ogrodniczej w Warszawie. Po ukończeniu studiów w 1917 r. został zatrudniony jako asystent w Stacji Doświadczalno-Ogrodniczej w Morach pod Warszawą, a w latach 1921-1926 jako młodszy asystent w Katedrze Ogrodnictwa na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. W 1923 r. został zastępcą dyrektora Jednorocznych Kursów Ogrodnictwa, które zorganizowano przy Katedrze Ogrodnictwa. W. Zembał doprowadził do przekształcenia tych kursów w Państwową Szkołę Ogrodnictwa o trzyletnim okresie kształcenia. Pod jego dyrekcją szkoła przetrwała do 1951 r., kiedy to władze postanowiły ją rozwiązać. Dzięki dyrektorowi Zembałowi utworzono dwa kierunki specjalistyczne, jak Wydział Produkcji Ogrodniczej i Wydział Ogrodnictwa Ozdobnego, a także największą w kraju bibliotekę ogrodniczą. W 1928 r. W. Zembał został dyrektorem Ogrodu Botanicznego w Poznaniu. W roku 1936 eksternistycznie uzyskał dyplom inżyniera ogrodnika w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, a po wojnie tytuł magistra. Podczas okupacji hitlerowskiej pracował jako zastępca dyrektora i wykładowca Szkoły Ogrodniczej w podwarszawskim Ursynowie. W 1945 r., po powrocie do Poznania przystąpił do odbudowy zniszczonej podczas wojny szkoły, zorganizował Męskie Liceum Rolnicze, a następnie, po likwidacji Państwowej Szkoły Ogrodnictwa, związał się z Wydziałem Rolnym Uniwersytetu Poznańskiego (1951). Wkrótce po tym zmarł w Poznaniu.

A. Dzieczkowski, *Zembał Waclaw*, [w:] *Wielkopolski...*, s. 871; *Waclaw Zembał*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Waclaw_Zembał [dostęp: 1.06.2015].

4. Asystentura w Państwowej Szkole Ogrodnictwa

Zanim jeszcze przystąpiłem do egzaminu dyplomowego, dyrektor Zembal zaproponował mi objęcie stanowiska asystenta do przedmiotów wchodzących w zakres ochrony roślin, a więc entomologii i fitopatologii. Z dużą ochotą się na to oczywiście zgodziłem. Moje miesięczne wynagrodzenie za pierwsze trzy miesiące wynosiło 100 zł. Później podniesiono mi je do 180 zł, kiedy już zająłem stały etat asystenta przy uczelni. Zgodziłem się na tę pracę skwapliwie, ponieważ pokrywała się ona z moimi osobistymi zainteresowaniami, a poza tym praca pod kierownictwem dyrektora Zembala była najlepszą szkołą życia. Był to człowiek niewielkiego wprawdzie wzrostu, ale za to bardzo rzeczowy, doskonały organizator i administrator, przy którym mogłem się nauczyć dyscypliny pracy i właściwego kierowania zespołem podległych sobie ludzi.

Początkowo obsługiwałem tylko dwóch wykładowców, profesora K. Zaleskiego i profesora A. Linkego. Ale zapał, z jakim zabrałem się do pracy i samodzielność w jej organizowaniu, szybko poszerzyły zakres moich prac. Wykazując „smykałkę” do montowania różnych pomocy naukowych zacząłem także obsługiwać inne dyscypliny – botanikę, nasiennictwo i drzewoznawstwo. W roku 1935 ukończyłem dopiero 19 lat, a dyrektor Zembal powierzył mi, obok obowiązków asystenckich, także kierownictwo Pracowni Pomocy Naukowych (PPN). Pracownię tę sam stworzyłem i zorganizowałem, będąc jej kierownikiem przez 34 lata. Stworzyłem ją z niczego, bez żadnych dotacji, tylko z pieniędzy wygospodarowanych przez szkolne gospodarstwo ogrodnicze (tzw. Ogrody Szkolne). Pracownia ta



25. Grupa studentów w towarzystwie profesora Zaleskiego (czwarty od prawej w drugim rzędzie) i asystenta Alwina, oznaczonego strzałką (1936)



26. Prof. Karol Zaleski
(zdjęcie powojenne)

zatrudniała początkowo tylko trzy osoby, a po wojnie obsada urosła aż do dziesięciu ludzi. PPN stale była jednostką samowystarczalną. Po wojnie z jej produkcji skorzystał wydział Szkolnictwa Rolniczego przy Ministerstwie Rolnictwa i powierzył mi w latach 1946-1949 zaopatrywanie wszystkich szkół rolniczych w Polsce w takie pomoce naukowe, jak preparaty biologiczne chorób i szkodników roślin, tablice poglądowe z botaniki i ochrony roślin (drukowane w PWRiL w Warszawie), kośćce zwierząt użytkowych (konie, krowy, świnie, drób) i wiele innych. Po przejściu przez

Uniwersytet Poznański w roku 1951 Państwowej Szkoły Ogrodnictwa wraz z Pracownią Pomocy Naukowych, Pracownia nadal prowadziła swoją działalność samowystarczalną, aż do roku 1969. Kiedy w ramach zmian organizacyjnych szkolnictwa wyższego dawny Wy-

5. Moje miłości

Warto też co nieco opowiedzieć o moich przeżyciach miłosnych. Pierwszą miłością zapalałem w wieku 14 lat jeszcze w Lesznie, kiedy przyjechała do nas w odwiedziny daleka kuzynka, Marysia Neumanówna. Miała wtedy 16 może 17 lat, była osobą raczej pulchną i ciepłą. Ale cóż, kochałem się bez wzajemności. Kuzynka patrzyła na mnie jak na pętaka, a uczuciowo w ogóle nie zwracała na mnie uwagi.

Następne miłości ukazały się na moim horyzoncie dopiero w Poznaniu, kiedy już znalazłem się na pierwszym roku Państwowej Szkoły Ogrodnictwa i miałem 16 lat. Była to moja koleżanka z roku, także pulchna, Irka Cz., która zapraszała mnie nawet do domu, a mieszkała u swoich krewnych na Sołaczku. Ale nic z tego nie wyszło, chociaż mi ręka zawsze drętwiała kiedy szliśmy razem, a ja kurczowo i z wielkim przejęciem trzymałem ją pod rękę.

Potem przerzuciłem swoje uczucia na drugą koleżankę z roku, Wandzię St., z włosami splecionymi w piękne warkocze, do których zawsze miałem dużą słabość. Wandzia odpowiadała mi zarówno pod względem urody, jak i inteligencji. Muszę tu zaznaczyć, że największy pociąg w swoim życiu miałem zawsze do dziewczyn czy kobiet inteligentnych, nie zaś do jakichś umalowanych „kociaków”. Wandzia droczyła się ze mną filuternie, ale nie dopuściła do tego, żeby się we mnie żywiej rozwinęło jakieś uczucie.

Najinteligentniejszą dziewczyną na moim roku była Irka Modlibowska¹, pochodząca z rodziny ziemiańskiej, posiadającej majątek Czachorowo w powiecie gostyńskim. Wprawdzie były to wysokie progi na ówczesne moje nogi, ale przyjaźniliśmy się z Irką przez całe życie zupełnie platonicznie. Nigdy nie wykazywała nic z seksu, tylko



29. Irena Modlibowska (ok. 1935)

prowadziliśmy ze sobą długie i niekończące się dyskusje filozoficzne. Raz tylko ujrzałem ją w stroju kąpielowym nad jeziorem Góreckim w Ludwikowie i wtedy zaimponowała mi piękną budową ciała, czego na co dzień nie było widać, bo ubierała się bardzo skromnie i nieelegancko. O jakimkolwiek zbliżeniu bardziej erotycznym mowy nie było. Byliśmy w tej samej grupie ćwiczeniowej, mieliśmy więc dużo wspólnych spraw i zajęć. Bywałem u niej w jej kawalerce, gdzie mieszkała razem ze swoją starszą siostrą, Wandą², przed wojną słynną w Polsce lotniczką, która pobiła nawet ja-

kies rekordy światowe. Z Irką jeździliśmy na wycieczki rowerowe, ale ani razu nawet się nie pocałowaliśmy. To była panna z zasadami, bo w młodości wychowywana przez siostry Sacré Coeur. Po latach dopiero, kiedy już byłem żonaty, wyczułem z listów Irki otrzymywanych z Anglii, że pewnie ona żywiła do mnie jakieś głębsze uczucie, z czym żadnym gestem wcześniej nie zdradziła się; nigdy nie wyszła za mąż. We wrześniu 1939 roku Irka wracała ze stypendium w USA i ze względu na rozpoczęte w Polsce działania wojenne, zatrzymała się w Anglii, gdzie pozostała już na stałe. Zrobiła doktorat, pracując naukowo w Sadowniczej Stacji Doświadczalnej w East Malling. Stała się, znanym w świecie naukowym, wybitnym specjalistą od zagadnienia mrozoodporności drzew owocowych. Ufundowała w Anglii specjalne stypendium dla polskich studentów specjalizujących się w sadownictwie, ściągając ich na staże naukowe do East Malling (np. Mundka Niemczyka³ i innych pracowników profesora Pieniążka⁴). Do końca życia Irka Modlibowska zachowała obywatelstwo polskie, ale do kraju nie przyjechała po wojnie ani razu. Kontakt korespondencyjny utrzymywaliśmy ze sobą począwszy od roku 1935, aż do jej śmierci – wyjąwszy okres wojny. Zmarła w Anglii 10 albo 13 listopada 1986 roku (dwa nekrologi podały dwie różne daty). W Anglii nikt już nie znajdzie nawet jej grobu, bo po śmierci przekazała swoje ciało jakiemuś zakładowi medycznemu dla celów naukowych.



30. Irena Modlibowska (pierwsza z lewej), Stefan Alwin i Tadeusz Nadolny na wycieczce z profesorem Zaleskim (przed 1939)

Tymczasem byłem już asystentem w PSO i prowadziłem ćwiczenia z entomologii na I roku. W roku 1936 wstąpił do PSO rocznik wyjątkowo liczny i bogaty w różne indywidualności; moje zainteresowanie tym rocznikiem pod względem pedagogicznym było wyjątkowo duże. Od samego początku zwróciła moją uwagę blond-dziewczyna, o ślicznych warkoczach koloru nie tyle pszenicy, co dojrzałego żyta. Jak się później zorientowałem w czasie wojny, taki kolor włosów można było zobaczyć głównie u kobiet pochodzących z terenów na wschód od Wisły. A Marysia Staskówna⁵ (tak nazywała się ta dziewczyna) pochodziła właśnie z Lubelszczyzny!! Poczulem do niej wyjątkową sympatię tym bardziej, że usposobienie miała bardzo miłe i pogodne. Wprawdzie na ćwiczeniach byłem dla niej bezwzględny i oceniłem jej zeszyt ćwiczeniowy tylko na „dostatecznie”, podczas gdy wykładowca dr Linke dał jej stopień „dobry”, czego mi później Marysia długo darować nie mogła. Ale poza ćwiczeniami darzyłem ją dużymi względami, życzliwością i prawdziwą przyjaźnią, ponieważ instynktownie czułem, że pod względem „doboru naturalnego” jak najbardziej mi odpowiada. Wprawdzie pod względem intelektualnym dopatrywałem się u niej pewnych niedociągnięć, ale uczuciowo zaczęliśmy być sobie coraz bliżsi. Tym bliżsi, że Marysia miała także zamiłowania przyrodnicze i razem zaczęliśmy urządzić

6. Wyprawy poleskie

Do pierwszej wyprawy na Polesie¹ w 1938 roku przygotowaliśmy się bardzo starannie, zakupując odpowiedni sprzęt turystyczny. Mieliśmy już kajak, który po polesku nazwaliśmy „Wjunem”². W tajemnicy przed rodzicami, którzy nie zrozumieliby tego, zamówiłem w Warszawie, w przodującej firmie sportowej „Kera”, namiot turystyczny, dwuosobowy, z nieprzemakalną podłogą i z podwójnym daszkiem (dzisiaj nazywa się to tropikiem) – nowość w tamtych czasach. Koszt tego namiotu był wtedy bardzo wysoki i wynosił 220 zł, tzn. tyle co moje miesięczne pobory. Ale nasz namiocik to było wtedy prawdziwe cacko! Nigdy nie przemakał ani od góry, ani od dołu, chociaż na Polesiu zdarzało nam się nie raz stawiać go bezpośrednio na bagnie, bo nigdzie nie było suchego skrawka ziemi. Miejsce pod namiotem wymościliśmy zawsze grubą warstwą gałązek olchowych.

Całą trasę wyprawy poleskiej przemyśleliśmy razem z moją Marysią i prześledziliśmy ją jeszcze zimą na szczegółowych mapach wojskowych, tzw. setkach (w skali 1:100 000), w które przed wojną bez większych trudności można było zaopatrzyć się w księgarniach (cena jednego arkusza wynosiła 1 zł). Mapy te mieliśmy tak dokładnie przestudiowane, że później w terenie wszystko nam się ściśle zgadzało i pokrywało z wcześniejszymi planami i harmonogramem wodnej wędrówki.

Do towarzystwa w wyprawie zwerbowaaliśmy „dla przyzwoitości” jeszcze jedną parę – Ziułę Kuleszankę (Marysi koleżanka z roku) i Fejusia (spod Warszawy). Dwa kajaki zostały wysłane koleją z Poznania do Pińska³, gdzie i my wkrótce dojechaliśmy. Pińsk wprowadził nas w koloryt, atmosferę i klimat wschodnich miast ówczesnej Polski.



35. Uczestnicy pierwszej wyprawy na Polesie: od lewej Ziuta Kulesza, Fejuś, Maria Staskówna i Stefan Alwin (1938)



36. Maria Staskówna na drewnianym chodniku w Pińsku (1938)

Chodniki były ułożone z drewnianych desek. Sklepy przeważnie prowadzili Żydzi, tylko dwa najporządniejsze prowadzone były przez kupców z Poznańskiego. Przenocowaliśmy w schronisku szkolnym, a na drugi dzień spuściliśmy nasze sztywne kajaki na wodę Piny⁴ i ruszyliśmy przed siebie, na wschód. Bardzo szybko dotarliśmy do Prypeci⁵, gdzie zaraz pierwszego dnia spotkała nas przygoda. Płynąc na wschód, a więc pod słońce, nie zauważyliśmy liny stalowej przeciągniętej w poprzek koryta rzeki, na wysokości 50 cm ponad wodą. To rybacy założyli tę linę, doczepiając do niej co parę metrów sznurki spuszczone do wody z przynętą

na sumy. Kajak Fejusiów płynął pierwszy, dostał się pod tę linę i momentalnie wywrócił. Załoga wpadła do wody, szybko doholowała

7. Początek II wojny światowej

Zanim zagłębię się już w okres II wojny światowej, cofnijmy się jeszcze do roku 1938. Za namową dyrektora Zembala, będąc asystentem etatowym PSO w Poznaniu, zapisałem się również na studia przy Uniwersytecie Poznańskim na Wydziale Rolniczo-Leśnym. Studiowałem normalnie pracując jednocześnie 8 godzin dziennie w PSO, bo przed wojną jeszcze nie organizowano żadnych studiów zaocznych. Na wykłady chodziłem dość rzadko, bo odbywały się one przeważnie w godzinach przedpołudniowych, a więc w godzinach moich normalnych zajęć w PSO. Na ćwiczenia zapisywałem się w grupach odrabiających zajęcia w godzinach popołudniowych. Z reguły zaliczałem wcześniej od kolegów i koleżanek studiujących normalnie i I rok ukończyłem bez żadnych zastrzeżeń. Ale II roku już nie danym mi było zaliczyć, bo 1 września 1939 roku wybuchła II wojna światowa.

Była ona dla nas wstrząsem równie silnym, jakim byłaby np. bliska detonacja ogromnego ładunku dynamitu. Wprawdzie do wojny przygotowywaliśmy się wszyscy od miesięcy, dużo się na ten temat mówiło i pisało, ale strachu przed jej okropieństwami nikt jeszcze wtedy specjalnie nie odczuwał. Cały naród nosił w sobie tak wielki ładunek patriotyzmu, że myśl o przegraniu wojny z Niemcami w ogóle nie wchodziła w rachubę. A tymczasem nagle o świcie 1 września wybuchła wojna i zaczęła szybko przetaczać się przez cały nasz kraj. W Poznaniu przed południem zaczęły się sypać pierwsze bomby spod skrzydeł niemieckich samolotów bombowych, nadlatujących eskadrami z potwornym jękiem, jedna po drugiej... Lotnisko na Ławicy zostało bardzo szybko zbombardowane, a potem samoloty leciały wzdłuż ul. Bukowskiej, spuszczać coraz to nowy

ładunek bomb. Ludność była przygotowana do nalotów bombowych i chroniła się w rowach przeciwlotniczych, wykonanych zygżakiem już wcześniej w każdym parku i ogródku przydomowym. Ja, razem z rodzicami, po każdym alarmie schodziłem do takiego rowu, a kiedy już zbliżał się zawodzący jęk obciążonych bombami samolotów niemieckich, wszyscy kładliśmy się plackiem na dnie tych rowów. Pamiętam wybuchy bomb, padających niedaleko od nas. Towarzyszący nam piesek, foksterierka Iskra, ze strachu wskakiwał nam na plecy. Najbliżej nas niewielka bomba (bo tylko 50 kg ważąca) spadła na szczyt prawej części naszego domu, demolując zupełnie mieszkanie zajmowane dzisiaj przez państwa Walczaków. Ale świst tej bomby lecącej z nieba na nasz dom słyszeliśmy wyraźnie wszyscy, leżąc na dnie rowu przeciwlotniczego.

Wojna potoczyła się w błyskawicznym tempie, bo przecież to było hitlerowskie „Blitzkrieg” (wojna błyskawiczna)! Przez radio stale wysłuchiwalismy komunikatów wojska polskiego; komunikatów, niestety, niewesołych... 3 września usłyszałem przez radio komunikat wzywający wszystkich kierowców motocykli, aby na ochotnika zgłosili się do wojska w Cytadeli Poznańskiej. Jako student Uniwersytetu Poznańskiego należałem do tzw. Legii Akademickiej (organizacyjnie odpowiadała ona powojennej służbie wojskowej w Studium Wojskowym). Wprawdzie nie podlegała ona ogólnej mobilizacji wojskowej w Polsce, ale ja po tym komunikacie poczułem się w obowiązku stawienia się natychmiast w garnizonie poznańskim razem z moim motocyklem. Była to wspaniała maszyna niemiecka, tzw. DeKaWu 125. Z punktu zbornego po południu poprowadzono nas, 48 ochotników, do magazynów spedycyjnego przedsiębiorstwa C. Hartwig przy ul. Składowej, gdzie wydano nam nowe motocykle, głównie marki Peugeot, prosto z drewnianych skrzyń, w których były jeszcze zapakowane. Jako jedyny miałem własny motocykl, a więc na chodzie. Z pozostałymi nowymi maszynami oddziałek ochotników pomaszerował pieszo na Cytadelę. Tam napełniono baki benzyną i olejem i przygotowywano maszyny, jeszcze nie dotarte (!), do jazdy. Około północy otrzymaliśmy rozkaz wyjazdu do najbliższego garnizonu we Wrześni. Dowódcą tego oddziału wyznaczono mnie, bo przecież służyłem w Legii Akademickiej, a poza tym miałem najsilniejszy i w pełni dotarty motocykl. Przy zaciemnionych reflektorach, nieumundurowani, ruszyliśmy przed siebie. Kierunek – Września. Byłem zaopatrzony w moje mapy-sztabówki całego województwa po-

8. Pobyt w Lublinie

W Lublinie odnalazłem mojego kolegę i przyjaciela z PSO, Edę Szymankiewicza, który pracował w przetwórstwie owoców i warzyw, i wiodło mu się dobrze. Mieszkał on u rodziny Frąków, ci zaś byli skoligaceni z rodziną Kamolów, z którą to nasze losy płątały się przez całą okupację niemiecką. Zimą 1940 roku zaczęliśmy rozglądać się za jakimś zajęciem i zarobkiem. Ktoś namówił nas do produkcji słodkiej melasy z buraków cukrowych. Zastępowała ona wówczas brak cukru, bowiem okupant ograniczył już wszystko kartkami żywnościowymi. Nabywanie buraków od gospodarzy na wsi nie nastroczało trudności. Opuściliśmy więc z Marysią Nowy Staw i we wsi Prawiedniki¹ pod Lublinem zorganizowaliśmy małą przetwórenkę buraka cukrowego. Zakupiliśmy gdzieś na jarmarku miedziany kociołek (ręcznej roboty) i w nim gotowaliśmy poszatowane na plasterki buraki tak długo, aż słodki wywar odpowiednio się zagęścił. Otrzymaną ciemno-brunatną melasę sprzedawaliśmy bez trudu. Kiedy wiosną buraki zaczęły się już kończyć, trzeba było przerzucić się do innej pracy. Marysia wróciła do swojego Błędowa, gdzie ochoczo ją przyjęto, dała się bowiem poznać wcześniej jako wzorowa pracownica w sadzie i pasiece. Ja natomiast odszukałem na terenie Lublina swojego starszego kolegę z gimnazjum w Lesznie i później z PSO w Poznaniu, Eryka Zybera, który był kierownikiem Ogrodów Miejskich. Zająłem etat zwykłego robotnika dniówkowego, a pełniłem funkcję inspektora plantacji miejskich. Wiosną 1940 jeździłem do Warszawy zdobywając najlepsze gatunki i odmiany bylin kwiatowych w przodujących wówczas firmach ogrodniczych, m.in. u Braci Hoser² oraz C. Ulricha³. Niektóre z cenniejszych gatunków, jak np.



47. Wyprawa na południe Lubelszczyzny. Krajobraz roztoczański (1940)

miskanty (*Miscanthus japonicus gracillimus*, *Miscanthus japonicus zebrinus*) czy dziewanna (*Verbascum panuosum*), trudne dzisiaj do zdobycia, wędrują ze mną do teraz, przewożone po wojnie z Lublina do Poznania, a później z Poznania do Bojadeł.

Mieszkałem wtedy w Lublinie przy ul. Piechoty 9 u Fraków, z którymi się zaprzyjaźniłem. Z Marysią kontaktowałem się listownie na bieżąco, ale gdy już wiosna miała się ku końcowi i zaczynało się lato, coraz smutniej było mi żyć bez Marysi. Zacząłem więc namawiać ją w listach do opuszczenia Błędowa i powrotu do Lublina. Mijała już wiosna 1940 roku, a we mnie odezwały się, jak co roku, ciągoty do wycieczek w teren, a nie miałem z kim się wybrać. Marysia uległa moim namowom, pożegnała się z Błędowem i przyjechała do Lublina. Tu od razu wpadliśmy na niezbyt mądry pomysł urządzenia czterytygodniowej pieszej wyprawy z namiotem po terenach południowej Lubelszczyzny. Skompletowałem wszystkie mapy-sztabówki tego terenu i małoobrazkowy aparat fotograficzny „Weltini” wraz z kompletem filmów. I z wyładowanymi plecakami wyruszyliśmy przed siebie. Urządzenie takiej wyprawy w czasie wojny było rzeczą bardzo

4. CIEKAWY OPIS PODRÓŻY po tej niezwyklej krainie opublikował w 1927 r. Wacław Świątkowski. Przytoczmy zatem stosowne fragmenty:

„Jestem w południowej Lubelszczyźnie wprost Zawichostu. Dokoła otacza mnie gruba, zielona ściana, zasłaniająca zupełnie horyzont. Prócz skrawka nieba, nic więcej nie widzę. Jakieś przykre uczucie ogarnia mnie, jakaś bezradność dziecięca. Nie wiem, którędy kierować swe kroki, którędy bliżej do celu. Ruszam w imię Boże, trzymając się jednego kierunku. Stąпам powoli. Posplatane pędy sitowia, szuwarów, wikliny wstrzymują mnie, smagają po głowie i po twarzy, chwytają za rower, za nogi i za ubranie. Grunt bardzo nierówny, ciągle kępy, korzenie. Idę po omacku, grzęznę w zielonym morzu. Co chwila potykam się, zapadam, kuleję. Starannie upatruję drogi, chciałbym jednej chwili wydobyć się z tego straszego labiryntu, szamoczę się i złorzeczę. Naraz spostrzegam wydeptaną ścieżkę, która, jak nić Ariadny, wyprowadza mnie do gaju rosochatych wierzb, a stąd na gościniec, wiodący przez las sosnowy nad samą granicą obok posterunków rosyjskich i austriackich do najbliższego Zaklikowa. [...]

Doliną Sanny dostają się do Modliborzyc, małego, brudnego i niezabrukowanego miasteczka, które przecina trakt bity, łączący Kraśnik z Janowem. [...]

O milę od Modliborzyc leży Janów, miasto powiatowe, połączone szosą z Lublinem. Na pierwszy rzut oka sprawia miłe wrażenie: nie widać w nim brudów, jak i w innych miasteczkach. Boczne ulice i rynek nie miały jeszcze bruków, ani chodników, jedynie je miała pryncypalna ulica Zamojska, przez którą przeciągał się Kościuszko i gdzie stał obozem. Na pamiątkę pobytu ukochanego bohatera i wodza powstał ogródek spacerowy i kolumna z piaskowca. [...]

Pagórkowata Wyżyna Lubelska roztacza piękny i malowniczy krajobraz, głównie w okolicach Goraja, leżącego nad stawem, przez który przepływa Łada, dopływ Tanwi. Tu ziemię urodzajną, wszędzie łany pszenicy i zboża wspaniałe. Powierzchnia nadzwyczaj urozmaicona: wzgórze, wąwozy, jary, urwiska. Wśród tych cudów natury przykre wrażenie sprawia miasto. Chylące się od starości domy o dziurawych i zapadłych dachach wieńczą pełen błota i gliny rynek, przypominający raczej śmietnik wielki i gnojowisko, niż plac targowy. Jakiś obraz nędzy i zaniedbania. A ile to w tych pochylonych wiekiem domach oryginalności, ile artyzmu, naszego renesansu, a ile poezji! Fronton każdego niemal wspiera się na rzeźbionych słupach, tworzących podcienia, dach łamany, pełen wdzięku i smaku. Giną też cenne zabytki bezpowrotnie, czas je kosi; powstają nowe, bez stylu i duszy. Ulice gorajskie robią wrażenie wąwozów i rzek. Woda deszczowa je żłobi, rozmywa, tamuje ruch kołowy, a ojcowie miasta kiwają głowami i nic nie robią dla walki z żywiołem. Goraj zaliczał się niegdyś do miast zamożnych, dużych, posiadał zamek, kilka kościołów, z których tylko jeden pozostał; rozwijał się tu przemysł i rzemiosła. Dzisiejsi mieszkańcy zajmują się rolnictwem, nieliczni wyrobem płótna na worki, garbarstwem.

Bogaciej i czystiej przedstawia się pobliski Frampol z dużym bardzo, niezabrukowanym rynkiem, otoczonym niebrzydkiemi domami. W miasteczku godne uwagi są liczne warsztaty płótna, ręczników, obrusów. Ładny kościół murywany znalazłem w stadium gruntownej restauracji. Początek Frampola sięga 1705 roku. Założył go Franciszek Butler, który, dbając o jego rozwój, osadził

9. Praca w Oddziale „Społem” w Biłgoraju

Jak raz, nadarzyła się po temu szczęśliwa okazja. Poprzez znajomości trafiłem na inż. Bożysława Mioduszewskiego, absolwenta SGGW (Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego) w Warszawie, który właśnie poszukiwał kogoś, kto podjąłby się zorganizowania dla Wytwórni Namiastek Herbaty „Społem” w Warszawie zbioru, fermentowania i suszenia ziół leśnych, jako podstawowego surowca do wyrobu namiastek herbacianych, bo przecież w czasie wojny prawdziwa herbata dla Polaków była zupełnie niedostępna. Teren Lubelszczyzny został uznany za najbardziej nadający się w Generalnej Guberni do zorganizowania tego rodzaju akcji, a jeszcze ściślej mówiąc, lasy Zamojsczczyzny, zwłaszcza w powiecie biłgorajskim. Dyrekcja „Społem” wydelegowała mnie i mojego kolegę Władysława H. do Oddziału „Społem” w Biłgoraju¹ dla dokonania na miejscu rekonesansu terenowego oraz przeprowadzenia prób ze zbieraniem, fermentowaniem i suszeniem liści, przede wszystkim wszelkich gatunków jagodowego runa leśnego (jeżyna, borówka czernica, borówka brusznica). Do tego celu nadawałyby się także poziomki i maliny, ale w lasach biłgorajskich ich nie było. Jeżyny i borówki na tych terenach rosły masowo, ale ze zorganizowaniem ich zbioru wcale nie było tak łatwo. Kierownik biłgorajskiego Oddziału „Społem”², pan Luterek, skierował nas do leśniczego Mieczysława Mańkowskiego, zamieszkującego w leśniczówce na skraju wsi Nadrzeczce³, inaczej zwanej „Sędlaki”, ciągnącej się wzdłuż rzeczki Biała Łada. Leśniczy na swoim terenie miał do dyspozycji dwie pożydowskie suszarnie szyszek (jedną w Nadrzeczcu, drugą w Rapach⁴) i obie oddał do wykorzystania „Społem”. Zamieszkać pozwolił nam w małym domku dla robotników leśnych, posta-



56. Leśniczówka w Nadrzeczu (1941-1944)

wionym na podwórzu leśniczówki. Razem z Władkiem zbadaliśmy okoliczny teren pod względem rozmieszczenia poszczególnych gatunków roślin jagodowych i ich zasobności, sami zaczęliśmy próbnie zbierać poszczególne gatunki „na czas” dla zorientowania się w wydajności dziennej pracy zbieracza, po czym opracowaliśmy technologię fermentacji zebranych liści, a w końcu ich suszenia. Po napisaniu raportu z dokonanych prób i przeprowadzeniu wstępnej kalkulacji, uzyskaliśmy zgodę dyrekcji „Społem” w Warszawie na zorganizowanie na terenie powiatu biłgorajskiego masowego zbioru, fermentacji i suszenia liści jeżyny, borówki czernicy i borówki brusznicy (później także i kłączy perzu). Odbiorcą bezpośrednim wysuszonego produktu miał być Oddział „Społem” w Biłgoraju, a do niego należały już dalsze manipulacje z miejscowym „Kreisgenossen-Schaftem” (okręgowa spółdzielnia) i wysyłka koleją towaru do Fabryki Namiastek Herbaty „Społem” w Warszawie.

I w tym momencie rozpoczął się dla nas nowy etap losów okupacyjnych, obfitujący w bardzo dużą ilość najrozmaitszych przygód i silnych przeżyć, mających zasadniczy wpływ na dalszy bieg mojego i Marysi życia. Z całym naszym skromnym dobytkiem przenieśliśmy się z Lublina do naszej chałupki przy leśniczówce w Nadrzeczu,

1. BIŁGORAJ – miasto powiatowe, położone na Równinie Biłgorajskiej, nad Białą Ładą, założone na mocy przywileju króla Stefana Batorego w 1578 r. przez Adama Gorajskiego. W XVII w. miasto nadal należało do Gorajskich, następnie do Szczuków i Potockich, a od 1806 r. do Stanisława Nowakowskiego, szambelana ostatniego króla Polski. Nowakowski na terenie zwanym Rożnówką zbudował dwór oraz założył park. Po jego śmierci (1841) majątek odziedziczył syn Edward, a po nim zadłużone dobra przejął Walerian Płatonow, mąż córki szambelana Teodory. Jego następcą – brat Mikołaj Płatonow sprzedał Biłgoraj rządowi rosyjskiemu. W 1866 r. miasto stało się siedzibą powiatu. Najważniejszą dziedziną gospodarczą był wyrób sit i handel nimi, co stało się źródłem bogactwa wielu biłgorajskich mieszczan. Sita sprzedawano w wielu rejonach kraju, a po rozbiorach – Imperium Rosyjskiego i Austro-Węgier. Biłgoraj był miastem wielowyznaniowym, w którym mieszkali Polacy, Żydzi i Rusini. Charakteryzował się drewnianą zabudową, dopiero po tragicznym pożarze w 1872 r., kiedy to uległo spaleniu wiele domów, rozpoczęto wznoszenie murowanych budynków. W 1921 r. miasto liczyło 5603 mieszkańców, w tym 109 Ukraińców i 3715 Żydów. Po zakończeniu I wojny światowej nastąpił powolny rozwój gospodarczy Biłgoraja, zaczęły też powstawać budynki użyteczności publicznej, m.in. szkoły, które w istotny sposób zaczęły wpływać na spadek powszechnego w powiecie analfabetyzmu. Tragiczny początek II wojny światowej przyniósł we wrześniu 1939 r. śmierć ponad 100 osób i spalenie znacznej liczby budynków (tylko 11 września spłonęły 293 domy i 713 budynków gospodarczych). Niemcy wkroczyli do Biłgoraja 17 września, a 28 na krótko pojawiły się w mieście oddziały Armii Czerwonej. Okupacja hitlerowska, która trwała do lipca 1944 r., przyniosła m.in. eksterminację Żydów biłgorajskich, rozpoczętą w kwietniu 1941, a zakończoną 15 stycznia 1943 r. likwidacją getta. W maju 1944 r. Niemcy urządzili w Biłgoraju obóz przejściowy, w którym przetrzymywali partyzantów ujętych podczas operacji „Sturmwind” I i II, a także ludność cywilną wysiedlaną z terenów objętych pacyfikacją. Więźniowie byli przeznaczani do transportu do obozu śmierci na Majdanku.

J. Górak, *Miasta i miasteczka Zamojszczyzny*, Zamość 1990, s. 26-29; J. Niedźwiedz, *Leksykon historyczny...*, s. 42-44.

2. HURTOWNIA „SPOŁEM” w Biłgoraju została założona w 1917 r. pod nazwą Hurtownia Współdzielcza. Rok później powstał Dział Detaliczny, którego celem było zaopatrzenie bezpośrednio ludności Biłgoraja m.in. w produkty spożywcze, wyroby tytoniowe, skóry, materiały piśmienne, naczynia kuchenne. W 1919 r. Hurtownia zrzeszała 73 spółdzielnie działające na terenie powiatu biłgorajskiego, które w sumie liczyły 2756 członków. W tym czasie do Działu Detalicznego należało 386 członków. W latach 1928-1932, w czasie kryzysu gospodarczego miała miejsce upadłość wielu spółdzielni. Ich liczba w 1938 r. wynosiła już tylko 22 (2343 członków), co było wynikiem nie tylko upadłości, ale i fuzji części spółdzielni. W okresie międzywojennym Hurtownią Współdzielczą kierował Bohdan Hussar przy współpracy przewodniczącego Rady

10. Nadrzecze i pierwsze dziecko

Życie nasze związało się bardzo mocno z Nadrzeczem i Biłgorajem, jak również z ludnością tamtych okolic. Na ogół była to ludność biedna, posiadająca ubogie kawałki piaszczystych pasów pól, czasem z otaczającymi je lasami, rosnącymi także na piaszczystych gruntach, a częściej na gruntach podmokłych i bagnistych. Las dawał ludności nie tylko bogactwo swojego runa w postaci grzybów i jagód, ale dawał także zatrudnienie wyrobnikom leśnym i tartacznym, jak również tym wszystkim, którzy trudnili się wyrabianiem gontów lub artykułów łubianych, przydatnych dla sitarzy. My zżyliśmy się z miejscową ludnością bardzo szybko i łatwo. Nierzadko mieliśmy jeszcze do czynienia z analfabetami, ale właśnie wtedy, w czasie wojny, danym nam było przekonać się, że nie zawsze wykształcenie jest gwarantem prawdziwej wartości Człowieka, przez duże „C” pisanego. Nieraz mieliśmy do czynienia z ludźmi zupełnie prostymi, nie potrafiącymi się nawet wyraźnie podpisać, a odznaczającymi się prawdziwą mądrością w pojmowaniu i ocenie otaczających nas wydarzeń. Łatwiej nam przychodziło żyć się i zrozumieć z miejscową ludnością może i dlatego, że Marysia pochodziła przecież z Lubelszczyzny, a więc z regionu położonego na wschód od Wisły, a ja noszę w sobie także naturę wschodnią – naturę Poleszuka. Cechą wspólną ludzi pochodzących ze Wschodu jest ich naturalna serdeczność i łatwość nawiązywania z drugim człowiekiem bezpośredniego kontaktu, a co nie łatwo przychodzi, np. rdzennemu poznaniakowi, z którym najpierw trzeba beczkę soli zjeść, a dopiero potem wspólnie coś głęboko i uczuciowo przeżywać. Jedną tylko cechą wyraźnie różniła nas od ludzi Lubelszczyzny, a mianowicie nasza pracowitość i stosunek organizacyjny do pracy. Ludzie ze Wschodu zbytnią pracowitością nie



69. Nadrzecze w zimowej szacie (1941)

grzeszą, dlatego nam się ciągle dziwili, że my tacy „pracusie” pomimo wojny, kiedy przecież dla okupanta nie warto było się przepracowywać. A my przyjechaliśmy z Poznńskiego, gdzie moi przybrani rodzice (prawdziwe „poznanioki”) wychowywali mnie od małości w atmosferze wzorowej pracy i dobrej jej organizacji. Tę wartościową cechę wyrobili w ludziach na zachodnich rubieżach naszego kraju Niemcy przez blisko 200 lat trwającego zaboru Pomorza, Poznńskiego i Śląska. I ten rzetelny stosunek do pracy utrwalił się w paru pokoleniach na stałe, ułatwiając im przystosowywanie się do każdego nowych warunków, jakie los człowiekowi nieraz narzuca.

Po roku naszego gospodarowania w Nadrzeczcu zapragnęliśmy z Marysią mieć dziecko, skut-



70. Alwinowie przy łóżeczku Jagusi (1942)

11. Amputacja nogi Marysi

Dziecko nasze, Jagusia, rosło i rozwijało się nam wspaniale. Wprawdzie nie sprawiliśmy mu nigdy wózka, bo ten w warunkach leśnych byłby mało przydatny, zbiłem więc z listew drewnianych skrzynkę-korytko, w której układało się dziecko zawinięte w beciku i we dwójkę z Marysią nosiliśmy między sobą tę skrzynię na rzemieniach, przewieszonych przez ramiona. W ten sposób chodziliśmy na spacery do lasu, a towarzyszył nam zawsze wspaniały pies leśniczego, wilczur Baca. Jagusia wyglądała wspaniale, jak pączek w maśle. Kiedy miała już pół roku, zaniepokoił mnie kiedyś (czerwiec 1943) doktor Pojasek¹, dyrektor szpitala powiatowego w Biłgoraju, u którego Marysia rodziła Jagusię i zapytał, jak się czuje moja żona, którą rad by zobaczyć u siebie w gabinecie przyjąć. Tutaj muszę wyjaśnić, że Marysia po urodzeniu Jagusi jeszcze przez kilka dni (początek grudnia 1942 roku) leżała w szpitalu biłgorajskim. Któregoś dnia w czasie codziennego obchodu porannego sal z położnicami, doktor Pojasek wysłuchiwał wypowiedzi poszczególnych matek na temat różnych ich dolegliwości i samopoczucia w ogóle. Marysia nigdy nie lubiła doktorowi Pojaskowi zawracać głowy byle



81. Nadrzecze. Półroczna Jagusia – córka Alwinów (1943)



82. Maria Alwinowa w Nadrzeczcu przed amputacją nogi (ok. 1942)

drobiazgami, ale pewnego dnia odważyła się uzalić doktorowi, że na prawej nodze powyżej kostki ma taki guzek w postaci jak gdyby drugiej kostki. Guz ten powstał jeszcze w połowie 1940 roku, kiedy Marysia, jadąc z Lublina do Warszawy, wsiadła do zatłoczonego wagonu, przeznaczonego dla Polaków (lepsze wagony i nieprzepełnione były „nur für Deutsche” (tylko dla Niemców). Marysia, nie mogąc się wtłoczyć do środka zapchanego wagonu, stanęła na samym brzegu wagonu, którego nie można było zamknąć drzwiami od zewnątrz. Tuż przed odjazdem pociągu przechodził peronem wzdłuż wagonów

12. Pacyfikacja Zamojszczyzny

Wprawdzie po urodzeniu się Jagusi przyrzekaliśmy sobie nawzajem z Marysią, że do końca wojny nie opuścimy naszego dziecka, ale w wypadku utraty nogi przez Marysię los zmusił mnie do pozostawienia Jagusi pod opieką obcych ludzi. Z Warszawy wyjechałem mocno przygnębiony tragedią Marysi, kolejką wąskotorową dojechałem do Biłgoraja w godzinach popołudniowych i wysiadłem zasępiiony z wagonu, a tu nagle spotkałem znajomego kierownika sklepu „Społem” w Józefowie, Malanowskiego. Ten zwrócił się do mnie z sarkastycznym pytaniem:

– A gdzie to pan jeździł, panie Alwin?

Ja byłem tak zgnębiony naszą tragedią rodzinną, że nie zamierzałem się wdawać w jakąś dłuższą rozmowę, dlatego odpowiedziałem krótko:

– Do Warszawy.

A on na to:

– To Pan jeździ sobie do Warszawy, a tu Niemcy zabrali Panu dziecko i wywieźli na Majdanek.

Gdy jego słowa dotarły do mojej świadomości, poczułem się jak gdyby piorun uderzył we mnie. Malanowski nic nie wiedział o tragedii z nogą Marysi, opowiedział mi natomiast, że właśnie tegoż dnia rano Niemcy wysiedlili całą wioskę Nadrzecze, a ludność wywieźli do obozu na Majdanku. Po tej wiadomości poczułem się kompletnie zdruzgotany, bo przecież straciliśmy nasz największy skarb – Jagusię. Nie miałem już do czego wracać, bo straciliśmy i dom, i dziecko! Chociaż miałem wtedy dopiero 27 lat, to poczułem się jak starzec przygnieciony strasznym brzemieniem nieszczęść, dlatego pochylony ku ziemi wlokłem się powoli ze stacji kolejowej przed siebie, bez żadnego celu... W pewnym momencie zaczepił mnie ktoś na



85. Biurowiec ten (stan z 2011 r.) w czasie wojny był siedzibą dawnego Oddziału „Społem” w Biłgoraju. Było to jedno z miejsc, w którym przebywała Jagusia Alwinówna po uratowaniu jej z akcji pacyfikacyjnej Nadrzecza w lipcu 1943 r. (Fot. K. Garbacz)

ulicy, a to był jeden ze znajomych pracowników „Społem”, Różycki. Uśmiechnięty zapytał mnie:

– Czy widział Pan już Jagusię?

Ja mętnym wzrokiem spojrzałem na niego, jak gdybym nie rozumiał, o co mu chodzi. A on się zdziwił, że ja nie zareagowałem na jego pytanie, po raz drugi więc zapytał, czy ja widziałem Jagusię? Wtedy ja mu odpowiadam przytłumionym głosem, że Jagusię przecież Niemcy zabrali. A on na to uśmiechnięty:

– Nie, Jagusia jest uratowana!

Momentalnie ożywiłem się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej i zadałem pytanie:

– A gdzie teraz jest Jagusia?

Różycki mi odpowiada, że u pani Hussarowej, czyli u jej chrzestnej matki. Pędzę więc, jak oszalały z radości, do pani Hussarowej, otwieram drzwi od dużego pokoju i zastaję taką sytuację: na środku pokoju stoi długi stół, na nim siedzi 7-miesięczna Jagusia, a dookoła stołu zgromadziło się około 30 znajomych osób, wpatrzonych w niemowlę jak w obraz. Wśród nich zjawiam się nagle ja i zaczyna się gwałtowne opowiadanie o tym wszystkim, co się działo w cią-

13. Bandyckie wizyty

W drugiej połowie 1943 roku zaczęły się u nas bardzo niespokojne czasy. Rozpanoszył się bandytyzm, czego ofiarą padaliśmy kilkakrotnie. Bandytyzm na terenie Lubelszczyzny był zjawiskiem dość częstym i miał bardzo swoisty charakter. Bandyty rekrutowali się najczęściej nie z rodzin biednych i majątkowo upośledzonych, tylko z rodzin zamożnych, cieszących się nieraz długą już tradycją bandycką. Bandytyzm w tych rodzinach traktowany był jako swoisty „wyczyn”, dodający tymże rodzinom pewnego blasku i chwały. Jeden z zamożniejszych gospodarzy, który miał parę pięknych i doskonale utrzymanych koni, nocą robił wyprawy na odległość 20-40 km i tam napadał na bogatszych gospodarzy, plebanie itp. Jego brat, który mu towarzyszył w tego rodzaju wyprawach, został przez Niemców aresztowany i stracony na początku wojny za napad i obrabowanie bogatych Żydów (wtedy jeszcze nie wysiedlonych). Starszy syn tego gospodarza, także w tę sprawę zamieszany, uratował się szybkim i dobrowolnym wyjazdem na roboty do Niemiec, unikając w ten sposób stryczka, który nie minąłby go w Generalnej Guberni. Młodszy syn, kiedy my przybyliśmy w roku 1941 do Nadrzecza, jeszcze nie uprawiał bandytyzmu, ale zaczął się już do niego powoli „zaprawiać”. Nasz domek na podwórzu leśniczówki był już pod jego obserwacją i któregoś jesiennego wieczoru zakradł się przez okno do naszej kuchni i ukradł Marysi złoty zegarek „Cyma”, niefortunnie przez nią pozostawiony na półce w czasie wieczornego mycia się. Następnego roku już bardziej „dojrzał” do bandyckiej profesji i w towarzystwie sobie podobnych kumpli zaczął z bronią w ręku urządzać napady bandyckie. Należał do takiej bandy „Pięciu”, w której Armia Krajowa miała swoją „wtoczkę”, ponieważ organizacja ta zdecydowanie tępiła

bandytyzm. Otóż ta „wtyczka” powiadomiła raz swoich zwierzchników o projektowanym napadzie na nasz domek przy leśniczówce. Dowództwo AK uprzedziło mnie o tym i my z Marysią spokojnie już w oznaczonej drodze oczekiwaliśmy nadejścia bandytów. Pousuwaliśmy z powierzchni naszego mieszkania wszystko co cenniejsze i wartościowe, a pozostawiliśmy tylko trochę pieniędzy i mało atrakcyjnych przedmiotów. Około północy, rzeczywiście, odezwało się znamienne stukanie do okna i drzwi (ach, jak my to już dobrze znaliśmy!), ja poderwałem się z łóżka, otworzyłem drzwi na podwórze i stanąłem przed czterema uzbrojonymi mężczyznami, którzy bezceremonialnie wkroczyli do mieszkania, przeprowadzając rewizję naszego skromnego dobytku. Piąty członek tej bandy pozostał na zewnątrz, ale w poświacie księżycowej ja go dojrzałem i poznałem – to był Józek. Bandyci nie obłowili się wtedy obficie, bo my uprzednio przygotowani do takiej „wizyty” nie zostawiliśmy im większych możliwości wzbogacenia się naszym kosztem.

Los bandyckiej rodziny potoczył się dalej niezbyt szczęśliwie dla niej. Stary wiosną 1944 roku urządził jeszcze jedną wyprawę bandycką w odległości około 40 km od Nadrzecza, ograbiając jakąś plebanię. Ale wywiad AK miał już go na oku i po ostatnim napadzie na proboszcza wydano na seniora zaocznie wyrok śmierci. Którejś nocy grupa „chłopców z lasu” przyjechała do niego, każąc mu zaprząć jego piękne konie do wozu i razem z nim pojechali do lasu. Gdzie? Nie wiadomo. Od tej pory słuch o starym (osobiście lubiłem go, bo był niegłupi) zaginął całkowicie. Dużo później dopiero dowiedziałem się, że wywieziono go daleko od Nadrzecza, tam odczytano wyrok śmierci i powieszono go.

Los Józka był na razie lepszy. Po wyzwoleniu Lubelszczyzny przez wojska radzieckie w lipcu 1944 roku zaczęły się organizować władze ludowe. Nasz Józek zgłosił swą gotowość wstąpienia do Milicji Obywatelskiej. Zanim jednak zaczął pracować, uprawiał jeszcze nadal bandytyzm w zorganizowanych przez siebie bandach. Bardzo łatwo było wtedy zdobyć broń zarówno polską (pozostałości po wrześniu 1939 roku), jak i niemiecką czy radziecką. Było więc czym wojować i ludzi straszyć. We wrześniu wieczorami Józek ze swoimi kumplami strzelał sobie beztrudno w lesie, ciągnącym się wzdłuż wsi, wypróbowując swoją broń i jej celność. Aż tu któregoś dnia, krótko przed wieczorem, zaszli do naszego domku dwaj „chłopcy z lasu”. Jeden (znałem go z AK) to „W”, Bogdan, chłopak młody o jasnych

1. EDWARD BUCZEK (1906-1983) był zaprzysiężonym fotografem Armii Krajowej, działającym w regionie biłgorajskim. Urodził się na Kielecczyźnie. W wieku 19 lat zaczął praktykę w zakładzie fotograficznym w Mławie, a w 1931 r. uzyskał zatrudnienie u fotografa Jana Brodowskiego w Biłgoraju. Własny zakład fotograficzny otworzył w Ciechanowie, gdzie zamieszkał po ślubie z biłgorajanką, Jadwigą Szubartowicz. Po wybuchu wojny Buczkowie wrócili do Biłgoraja, gdzie E. Buczek kontynuował działalność jako fotograf, najpierw u J. Brodowskiego, z czasem we własnym zakładzie, który stał się również miejscem niebezpiecznej pracy konspiracyjnej w strukturach Armii Krajowej.

Charakter tej pracy nakreśla jego córka, Barbara Buczek-Plachtowa:

„W lasach biłgorajskich działały dwa głównie ugrupowania, był to oddział «Wira» (por. Konrad Bartoszewski) i oddział «Corda» (por. Józef Stegliński). Z czasem na terenach przez nich zajętych powstały całe miasteczka z mieszkalnymi ziemiankami, kuchniami, drukarniami prasy a nawet literatury podziemnej, kaplicami oraz szpitalami polowymi, nad którymi pieczę sprawował [...] doktor Pojasek z pomocą kilku młodych lekarzy. Ojciec, który był członkiem komórki wywiadu AK, został zaprzysiężony jako fotograf obu tych oddziałów. Fotografował ich pracę, ćwiczenia wojskowe, uroczystości, przygotowania do akcji na Niemców i w ogóle wszystko co wiązało się z życiem i działalnością leśnych ludzi. Zdjęcia te wysyłane były do doktora Klukowskiego, do Szczepreszyna, który to doktor był naczelnym, zaprzysiężonym archiwistą AK. Jeszcze teraz można wiele z tych zdjęć znaleźć w różnych publikacjach traktujących o tamtych czasach i tamtych sprawach. [...]

Zakład fotograficzny taty, poza tym, że dawał całej rodzinie całkiem niezłe utrzymanie, stanowił szalenie wygodną konspiracyjną skrzynkę kontaktową. Przewijała się przecież przezeń cała masa różnych ludzi, a to pozwalało na prawie bezkarną, rozległą działalność. Oczywiście wszystkie zdjęcia z lasu poddawane były obróbce w zakładzie, ale nie tylko one, bowiem dużo niemieckich żołnierzy miało aparaty fotograficzne, z których to nader często i ochoczo korzystali, uwieczniając wszystkie ważniejsze dla siebie wydarzenia, jak na przykład egzekucje na Polakach i Żydach, wysiedlania polskich wsi oraz inne tego typu «rozrywki». A filmy przynosili do zakładu fotograficznego, do wywołania i zrobienia odbitek. Tata zaś robił ... nie tylko dla nich, ale i dla wspomnianego już archiwum. [...] Ale może najważniejsze i jednocześnie najbardziej niebezpieczne było kopiowanie dokumentów wyniesionych z «Kripo» (Policja Kryminalna) przez pracującego tam, jako akowska wtyczka, Polaka o nazwisku Jan Gąsowski. Takie dokumenty, często decydujące o życiu wielu ludzi, trzeba było wynieść z urzędu (co należało do Gąsowskiego) sfotografować (to już działka taty) i z powrotem «oddać» kryminalnym (to znowu Gąsowski)” (B. Buczek-Plachtowa, *Moje wojenne dzieciństwo w Biłgoraju*, [w:] *Nad Tanwią i Ładą...*, t. 5, Biłgoraj 2010, s. 85-86).

Warto wspomnieć, że w 2011 r. zrealizowany został przez Wiesława Palucha film pt. „Fotograf partyzantów”, prezentujący sylwetkę tego dokumentalisty i świadka tragicznych wydarzeń w czasie okupacji. Na ten okres datuje się znajomość S. Alwina z E. Buczkim, o czym wspomina jego córka. Wkrótce

14. Przeżycia z Niemcami

Z Niemcami bezpośrednio, poza akcją pacyfikacyjną, niewiele mieliśmy styczności. Wprawdzie w Biłgoraju ogólny postrach szerzył szef tamtejszego gestapo, niejaki Kolb, ale na niego natknąłem się tylko raz w mieście. On przejeżdżał powoli ulicą na rowerze i zauważył mnie. Zatrzymał się i skinął na mnie palcem, bo widocznie wydałem mu się podejrzanym typem (młody mężczyzna w bryczesach i oficerkach na nogach!). Śmiało podszedłem do niego, on zażądał pokazania „Kenkarty” i zapytał gdzie pracuję; odpowiedziałem, że w „Społem” (przedsiębiorstwo to było tolerowane przez Niemców). Na pytanie o to czym się zajmuję, odpowiedziałem po niemiecku, że jestem „zielarzem”. Uspokoił się i puścił mnie wolno. W kontaktach z Niemcami zawsze ratowała mnie znajomość języka niemieckiego. Obchodzono się ze mną łagodniej, aniżeli z innymi i zazwyczaj nie czepiano się mnie od strony politycznej.

Raz tylko miałem naprawdę groźne zetknięcie z Niemcami. Było to przy końcu września 1943 roku, a więc już po najcięższych naszych przeżyciach tego roku: amputacji nogi Marysi, pacyfikacji terenu, próbie wywiezienia Jagusi przez Niemców i zmaganiach z bandytą Antkiem. Któregoś pięknego jesiennego popołudnia, około godziny 16⁰⁰, zaczęły się rozlegać najpierw pojedyncze strzały w lesie z kierunku wsi Rapy (odległej 4 km od Nadrzecza), później strzelanina wzmagала się coraz bardziej i wreszcie zagrały karabiny maszynowe i odezwały się wybuchy granatów, a w pewnym momencie wszystko ucichło. My w tym czasie pracowaliśmy w suszarni z dziewczynami wiejskimi nad obieraniem i krajaniem w plasterki jabłek przeznaczonych do suszenia. Strzelaninę rozumieliśmy jako potycz-

kę któregoś z naszych oddziałów partyzanckich z Niemcami, co za dnia było raczej rzadkością, ale czasami się zdarzało. W pewnym momencie drzwi od suszarni ktoś z zewnątrz gwałtownie otworzył, a w drzwiach ukazali się nasi „chłopcy z lasu”, zmęczeni, spoceni i zakurzeni od stóp do głów. Dowódca tego AK-owskiego oddziału w pośpiechu i zdenerwowaniu tłumaczył mi, że przed pół godziną stoczyli bitwę z Niemcami w lesie pod Rapami, gdzie stali biwakiem, a w pewnym momencie zostali otoczeni przez wojsko niemieckie i znaleźli się w kotle. Doszło do ostrej strzelaniny i nasz oddział zdołał się wyrwać z kotła i uciec przed Niemcami w kierunku na zachód. Cały oddział liczył około 300 ludzi, w tym kilka fur konnych taboru, a na niektórych furach leżeli skrwawieni ranni po tej niefortunnej bitwie pod Rapami. Teraz oddział, bojąc się w biały dzień pogoni Niemców za sobą, chciał się za wszelką cenę przedostać na zachód, przekraczając na drugą stronę szosę Biłgoraj-Frampol i tam zapaść w gąszczu Lasów Janowskich, ciągnących się kilometrami aż pod samą Wisłę. Chodziło tu o szybką i bezpieczną przeprawę naszego oddziału przez szosę w odległości około 8 km od Biłgoraja. No cóż, ja jeden znałem dobrze wszystkie miejscowe drogi i bezpieczne przejścia, poprowadziłem więc cały oddział najpierw przez jedyny mostek drewniany na Białej Ładzie i stąd 2-2,5 km drogami polnymi do szosy. Sprawa była o tyle skomplikowana, że najkrótsza droga pod osłoną leśną prowadziła od strony lewej, tzn. bliższej Biłgoraja, do którego bynajmniej nie chcieliśmy się zbliżyć. Można też było bezpośrednio z mostku na Białej Ładzie najkrótszą pierwszą lepszą drogą polną dojść do szosy, ale wtedy z lotu ptaka oddział byłby widoczny jak na dłoni i wtedy mógłby nawet nastąpić nalot lotniczy. Wybrałem więc drogę dłuższą, ale bezpieczniejszą. Poprowadziłem oddział wzdłuż Białej Łady pod okapem drzew porastających brzegi rzeki. Doszedłszy aż do północnej krawędzi lasu, skręciliśmy w lewo (na zachód) pod osłoną ściany leśnej. Po dojściu do szosy na wysokości tzw. Okopielnej Góry (znanej od wielu lat w całej okolicy z powodu najczęściej dokonywanych tutaj napadów bandyckich) oddział szybko przebiegł szosę na drugą stronę i tam momentalnie zniknął w gęstwinie Lasów Janowskich, a te ciągnęły się hen daleko...¹

Po przeprowadzeniu naszego oddziału powróciłem czym prędzej do mojej suszarni bacząc, żeby mnie nikt z mieszkańców wsi nie zauważył, że przeprowadzałem w biały dzień nasz oddział partyzancki. Jednakże, wracając przez mostek na Białej Ładzie, natknąłem się na

15. „Oswobodzenie” Lubelszczyzny przez wojska radzieckie

W lipcu 1944 roku zaczął się już wyraźnie zbliżać front radziecko-niemiecki. Gdzieś z daleka dochodziło dudnienie armatnich kanonad. Niemcy – cywile zaczęli pakować swoje manatki i opuszczać Biłgoraj. Jako jedno z ostatnich umknęło gestapo. Biłgoraj zajęty został przez wojska radzieckie bez jednego strzału. Żołnierze radziecy wkraczali do miasta ramię w ramię z polskimi partyzantami AK. Tych polskich oddziałów były tylko resztki, bo większość z nich wyginęła niedawno w bitwie z Niemcami pod Osuchami. W czerwcu 1944 roku zarządzono ogólne zgrupowanie oddziałów AK, z którego jednak wielu członków już nie powróciło do swoich domów. Zostali otoczeni w lasach na południe od Biłgoraja przez oddziały SS i wybito ich niemal doszczętnie. Do klęski tej doszło prawdopodobnie z winy majora „Kaliny”, który mógł wyprowadzić oddziały AK z okrążenia niemieckiego razem z oddziałami radzieckich partyzantów, ale uniósł się honorem i na własną rękę usiłował się bezskutecznie wydostać z kotła¹. Oddziałom radzieckim to się udało, a naszym już nie. O ilości ofiar oddziałów AK świadczy dzisiaj cmentarz w Osuchach, pełen krzyży... Zginęli tam także moi znajomi, np. Paweł Sikorski z Rap. Jego młodszemu bratu, Michałowi, udało się gdzieś ukryć przed Niemcami penetrującymi bagna osuchowskie. Porucznik „Topola”², chcąc się uratować przed kroczącą lasem niemiecką tyralierą, wspiął się na wysoką sosnę i tam przywiązał się paskiem do gałęzi. Ale nie uratowało go to, bo Niemcy go dojrzeli i serią ze szmajsera podziurawili jak sito. Pozostał przywiązany do gałęzi jeszcze długo, a zdjęli go z drzewa Polacy dopiero po odejściu Niemców z terenu biłgorajskiego. Znam osobiście taki znamieny wypadek, że jeden

z moich znajomych w wieku dwudziestu kilku lat walkę pod Osuchami wprawdzie przeżył, ale po wyjściu stamtąd osiwił kompletnie. Chcąc się tam uratować, zanurzył się w bagnie po samą szyję, wystawiając ponad błotem tylko głowę, na którą, dla niepoznaki, nałożył sobie kępę sitowia. Kiedy tyraliera żołnierzy niemieckich mijała go już niezauważonego, jeden z ostatnich żołnierzy potknął się właśnie o jego głowę i upadł na ziemię. Wstając obejrzał się za siebie i dojrzał wystającą z bagna głowę Polaka. Spoglądali chwilę na siebie, Niemiec wycelował swojego empi w Polaka, chwilę się namyślał i... nie wystrzelił. W tym samym czasie kamraci Niemca już się oddalili i zaczęli go nawoływać:

– „Hans, komm hier!” (Hans, chodź tutaj).

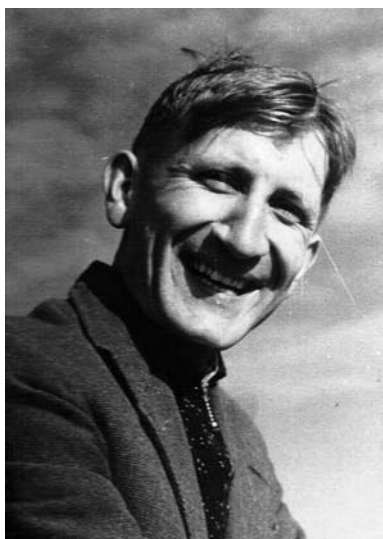
Hans opuścił lufę, odwrócił się i pogonił za swoimi...³

Po odejściu Niemców życie w Biłgoraju zaczęło się organizować od nowa, w powiązaniu oczywiście z władzami radzieckimi. Początkowo stosunki pomiędzy społeczeństwem polskim a władzami radzieckimi układały się nienagannie. AK, wkraczając do Biłgoraja ramię w ramię z żołnierzami radzieckimi, od razu częściowo się zdekonspirowało⁴. Wprawdzie w ostatnim okresie pobytu Niemców na terenie Lubelszczyzny w prasie codziennej (w tzw. gadzinówkach) zaczęły się ukazywać relacje, jak to na terenach zajętych już przez wojska radzieckie (Wileńszczyzna, Wołyń, Lwowskie itd.) Stalin wydał rozkaz rozbijania oddziałów AK i strzelania do nich w wypadku stawiania oporu, ale traktowaliśmy to raczej jako chwyt propagandowy Niemców chcących wrogo nastawić nas do nadciągającej armii radzieckiej. Błędem zwierzchnictwa AK było także to, że nas, zwykłych „szaraczków” terenowych, nie uprzedziło przed groźącym nam niebezpieczeństwem radzieckim i wielu z nas zupełnie niepotrzebnie zdekonspirowało się.

Jeszcze w czasie pobytu Niemców na naszym terenie, tzw. Delegatura Londyńska przygotowywała szczegółowo zarys organizacyjny polskich władz administracyjnych na wypadek zakończenia wojny. A więc wyznaczony już był starosta, burmistrz i wszystkie inne ważniejsze w administracji stanowiska. Po odejściu Niemców Polacy natychmiast przejęli dotychczasowy „Kreisamt” i zamienili go na „Starostwo Powiatu Biłgoraj”. Mnie delegatura londyńska powierzyła kierownictwo Referatu Handlu i Przemysłu przy starostwie. Podlegały mi także między innymi wszystkie sprawy rozdzielnictwa artykułów spożywczych, środków opałowych itp., co jednak musiałem

16. Aresztowanie przez UB w Biłgoraju

W cztery dni po zorganizowaniu przez oddział AK nieudanej zasadzki na mnie w lesie „Oblasek”, 6 stycznia 1945 roku rano pojechałem normalnie do pracy w starostwie. Około godziny 8³⁰ przyszedł do mojego biura zastępca kierownika powiatu Urzędu Bezpieczeństwa w Biłgoraju, tzw. „Murzynek” (dzisiaj znam jego nazwisko)¹. Poprosił mnie, ażebym przyszedł do UB dla uzgodnienia rozdzielnika artykułów spożywczych. Z „Murzynkiem”, nazywanym tak powszechnie z powodu kręconych czarnych włosów, nie raz spotykałem się już przedtem, załatwiając różne sprawy służbowe w UB, ale tego dnia wyczułem „przez skórę” wyraźnie, że przyjdzie „Murzynka” po mnie to po prostu aresztowanie. Schodząc razem z nim z I piętra po drodze wręczyłem jakiejś przechodzącej urzędniczce mój notes z niedbale wypowiedzianą uwagą, żeby go doręczyła mojej żonie. Powiedziałem to tak dyskretnie, że „Murzynek”, idący kilka kroków za mną, nie mógł tego usłyszeć (notes ten jednak nigdy nie dotarł do mojej żony!). Pozbyłem się tego notesu, bo zawierał on pewne notatki, które w UB mogłyby mnie za bardzo obciążyć. Spokojnym krokiem przeszliśmy razem z „Murzynkiem” te kilkadziesiąt metrów oddzielających starostwo od willi, w której mieścił się UB, weszliśmy do środka budynku, mijając po drodze dwie warty (jedna przy furtce na ulicy, druga przy wejściu do budynku). „Murzynek” poprowadził mnie na I piętro, wszedł ze mną do jakiegoś pustego pokoju, a za chwilę zjawił się tam jeszcze sam kierownik UB (blondyn)² w towarzystwie miejscowego komendanta NKWD. Ten ostatni spojrzął na mnie z urągliwym uśmiechem, bo przecież przed kilku dniami u niego w NKWD rozgrywał się między nami konflikt o tych konfiden-



104. Stefan Alwin w Nadrzeczcu
(1941-1944)

tów gestapowskich. Kierownik UB natomiast zapytał mnie lekceważącym tonem:

- A jak się mają wasze bunkry w Nadrzeczcu?

Po tym pytaniu dobrze zorientowałem się, że „wsypa” jest już na całego, jeśli oni wiedzą nawet o naszych bunkrach. Wszyscy trzej panowie opuścili za chwilę pokój, zostawiając mnie w nim samego. Po ich odejściu natychmiast zdecydowałem się na ucieczkę z UB. Podszedłem do okna żeby spenetrować ewentualne możliwości wyskoczenia z I piętra, ale okazało się, że okno wychodziło na wewnętrzne podwórze otoczone wysokim

murem. Ta możliwość ucieczki więc odpadła. Wobec tego zdecydowałem się na co innego. Podszedłem do drzwi, lekko je uchylilem i rozejrzałem się w prawo i w lewo, a nie widząc nikogo na korytarzu, wysunąłem się cicho na korytarz i zszedłem po schodach z I piętra na parter. Spokojnym krokiem minąłem pierwszych wartowników stojących przy drzwiach wyjściowych, potem następnych przy furtce od ulicy i... za chwilę szedłem sobie, jak gdyby nigdy nic, ulicą. Wartownicy nie zatrzymywali mnie, bo przecież przed paru minutami widzieli mnie wkraczającego spokojnie do UB w towarzystwie „Murzynka”, a poza tym widzieli mnie już nie raz, kiedy służbowo, jako urzędnik starostwa, przychodziłem i wychodziłem z UB. Rower miałem u pani Blumhoffowej, ale do niej nie mogłem skręcić w prawo, bo oddalałbym się od Nadrzeczca, a zależało mi na tym aby się teraz jak najszybciej dostać do wsi i przestrzec Marysię przed grożącym nam niebezpieczeństwem, a poza tym chciałem z bunkra leśnego usunąć trochę materiałów obciążających AK wobec UB. Postanowiłem więc pójść do rodziny leśniczego M.³, żeby wypożyczyć od nich rower i lasem dojechać do Nadrzeczca. Ale, niestety, to mi się nie udało. Uszedłem już pieszo z pół kilometra główną ulicą Biłgoraja (dzisiaj ul. Tadeusza Kościuszki), kiedy do moich uszu doszedł bardzo energiczny stukot butów żołnierskich poza moimi plecami.

17. Ucieczka z więzienia

A tymczasem front na Wiśle ruszył w połowie stycznia 1945 roku i w ostrym tempie sunął naprzód. NKWD trzymało się zawsze około 30-40 km za frontem, dlatego w Biłgoraju mieliśmy je na karku przez pół roku, bo tak długo stał front na Wiśle, a kiedy już front ruszył szybko naprzód, musiało się ruszyć z miejsca i biłgorajskie NKWD. Było to chyba 28 stycznia 1945 roku, kiedy na pożegnanie wojskowych władz radzieckich urządzono w mieście wielki bal pożegnalny z udziałem starosty, burmistrza i różnych innych przedstawicieli miejscowych władz.

Biłgoraj tej nocy był rozbawiony i roztańczony na całego, a żołnierze radzieccy i NKWD pili na umór. I właśnie tego dnia już po północy, kiedy my spokojnie spaliśmy w celach więziennych, nagle odezwał się zgrzyt klucza w zamku od drzwi naszej celi. Do środka wtargnęło kilku uzbrojonych naszych „chłopców z lasu” i zaczęło nas energicznie budzić pokrzykując: – Szybko, szybko! Ubierać się. To z lasu przyszedł oddział „Wira”¹ i... oswobodził nas. Taki właśnie zamiar miało od początku dowództwo AK, dlatego nie przysłano nam z zewnątrz żadnych pistoletów, bo to było za bardzo ryzykowne. Oddział „Wira” stał gotowy do akcji w najbliższym lesie i czekał tylko momentu, kiedy bal pożegnalny wojsk radzieckich dosięgnie zenitu (krótco po północy). Wtedy oddział złożony z około 50 uzbrojonych ludzi podsunął się pod mury więzienne razem z długą drabiną. Dwóch uzbrojonych „chłopców” wdarło się po tej drabinie na mur, zeskoczyło z drugiej strony ma podwórze więzienne, podeszło do drzwi więziennych i pociągnęło za linkę od dzwonka. Na dźwięk dzwonka zareagował jeden ze strażników, zszedł na parter i otworzył drzwi wejściowe, chcąc podwórzem dojść do bramy, żeby sprawdzić

– kto dzwoni. Ale ledwie otworzył drzwi, nasi „chłopcy” zarzucili mu worek na głowę, skrepowali go i odebrali klucze, którymi otwarto bramę żelazną, a przez nią wpuszczono na podwórze więzienne cały oddział „Wira”. Ze strażnikami na I piętrze więzienia uporano się bez jednego strzału, powiązano ich, zabrano broń i pootwierano wszystkie cele, wypuszczając więźniów na podwórze. Tam uformowano nas w dwuszeregu i wyprowadzono przez bramę więzienną na zewnątrz, po czym miarowym kłusem pobiegliśmy w kierunku południowo-wschodnim do najbliższego lasu². Tam zwolniliśmy już tempo biegu i zaprowadzono nas do miejsca postoju oddziału, gdzie siedział dowodzący na odległość całą akcją sam dowódca oddziału, „Wir”. Nie mogąc samodzielnie posługiwać się nogami po jakiejś potyczce, w której mu postrzałem uszkodzono bodajże kręgosłup (a może biodro?), mógł się w lesie poruszać wyłącznie na wózku inwalidzkim. W miejscu postoju „Wir” ze swoimi stalowo-niebieskimi oczyma kazał się oswobodzonym więźniom ustawić: na prawo – kto chce wracać do domu, na lewo – kto nie ma gdzie wracać i chce pozostać w oddziale leśnym. Ja, oczywiście, wyraziłem chęć powrotu do domu, stanąłem więc po prawej stronie. W pewnym momencie spojrzał na mnie bystro „Korab”³ i nachylił się do „Wira” i szeptem powiedział mu coś do ucha. „Wir” spojrzał wtedy wyraźnie na mnie, chwilę się zastanowił i wreszcie dał mi znać, żebym odmaszerował do domu. Po 30-tu dopiero latach dowiedziałem się, że „Korab” wtedy jeszcze uważał mnie za „wtyczkę” UB, zwrócił więc „Wirowi” na to uwagę. Ale „Wir” (nie wiem jak przyjął tę informację) postanowił jednak puścić mnie wolno. I w ten sposób znalazłem się wreszcie na wolności!

Okrężną drogą przemaszerowałem lasem kilkanaście kilometrów w śniegu przy 20-stopniowym mrozie w kierunku Nadrzecza. Najtrudniej było mi przekroczyć szosę Biłgoraj-Zamość, której najbardziej obawiałem się, żeby mnie przypadkiem nie przyłapała jakaś zasadzka UB. Dłuższy czas nasłuchiwałem uważnie, a kiedy żaden samochód nie zbliżał się z jednej czy drugiej strony szosy, nagłym szusem przeskoczyłem ją na drugą stronę, po czym doszedłem do Rap, a stamtąd, znajomą już dobrze drogą, prosto do Nadrzecza. Około godz. 3⁰⁰ nad ranem cichutko zastukałem do okna naszej chałupki. Marysia gwałtownie zerwała się z łóżka, otworzyła drzwi od sionki, wydała okrzyk wielkiego zdziwienia (bo nie spodziewała się mnie zupełnie), no i zaczęliśmy się ścisnąć bez końca... Ale już za

18. Powrót do Lublina

Kiedy już trochę „wylizałem” się z tych moich dolegliwości płucnych, zacząłem przemyślać, w jaki sposób opuścić ten wredny teren powiatu biłgorajskiego i przenieść się do Lublina. Z pomocą przyszedł mi Marcin Bąk, u którego spędzałem część dni mojego ukrywania się. On, znając moje kłopoty, sam zaoferował mi odstąpienie swojej „Kenkarty” twierdząc, że ona mu nie jest do czegokolwiek potrzebna, bo jego tu wszyscy znają i nikt nigdy nie musi go legitymować. W ten sposób któregoś kwietniowego dnia przemieniłem się w Marcina Bąka. Zdjęcia legitymacyjne w czasie wojny były robione na ogół byle jak, więc na podstawie zdjęcia nie bardzo różniłem się wyglądem od Marcina Bąka. Posiadanie „Kenkarty” umożliwiło mi wreszcie „wyfrunięcie” z Biłgoraja w szeroki świat. U znajomego woźnicy Buryty z Biłgoraja zorganizowałem sobie furę konną, umocowując pod jej deskami moją belgijską „FN-kę”, zabrałem trochę osobistych rzeczy i wyruszyłem do Lublina. Poruszaliśmy się nie głównymi szosami, tylko różnymi bocznymi drogami, żeby po drodze mieć jak najmniej do czynienia z wojskowymi patrolami kontrolnymi. Jechałem przez Goraj, Turobin, aż dojechałem szczęśliwie do Lublina. Tutaj miałem już sporo dobrych znajomych, którzy dopomogli mi w zorganizowaniu na nowo normalnego życia razem z Marysią i dwuipółletnią Jagusią. Najważniejszą pierwszą potrzebą było znalezienie odpowiedniego mieszkania. Za pomocą znajomych znalazłem skromny pokój z małą kuchenką w Głusku koło Lublina¹. W samym Lublinie nie chciałem się zbyt kręcić, bo mógłbym przypadkiem wpaść w ręce UB, o co wtedy było nietrudno. Po wynajęciu mieszkanek, za pomocą tego samego woźnicy Buryty, ściągnąłem czym prędzej Marysię z Jagusią i resztą naszego niewielkiego dobytku do Głuska, gdzie przykładowie mieszkaliśmy przez kilka tygodni. Ja, jako Mar-



105. Lublin. Fragment Starego Miasta współcześnie (Fot. K. Garbacz)

cin Bąk, uchodziłem za brata Marysi, której mąż rzekomo siedział w oflagu (obozie) niemieckim. Małe społeczeństwo w Głusku było święcie przekonane, że ja jestem kochankiem Marysi, ale tolerowano to łagodnie, bo to przecież jeszcze trwała wojna, a poza tym my zachowywaliśmy się bardzo spokojnie, nie budząc w nikim żadnego zgorznienia.

19. Drugie spotkanie z władzami bezpieczeństwa

Marysia w czasie mojej nieobecności, w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym (PUR)¹ załatwiła na najbliższy poniedziałek transport naszej rodzinie wraz z całym dobytkiem wagonem towarowym z Lublina do Poznania. Wobec tego ja przystąpiłem skwapliwie do załatwienia kilku jeszcze spraw związanych z naszym kilkuletnim okupacyjnym pobytom na terenie Lubelszczyzny. W sobotę pomaszerowałem do Lublina i pożyczyłem rower od swojego kolegi, Eryka Zybera, żeby szybciej załatwić różne wizyty i sprawy. Jadąc ul. Narutowicza, mało nie najechałem na jakichś dwóch facetów przechodzących nieprawidłowo na skos przez jezdnię. W ostatniej chwili przyhamowałem, spojrzałem na tych facetów i ku mojemu przerażeniu jednym z nich okazał się nie kto inny, tylko... „Murzynek”, zastępca kierownika UB z Biłgoraja, a jego obstawą był radziecki „anioł stróż” z pepeszą. „Murzynek” złośliwie się do mnie uśmiechnął, jak do dobrego znajomego i z miejsca mnie zaaresztował, odstawiając do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, położonego przy niewielkiej bocznej ulicy odchodzącej w prawo od ulicy Raławickiej, niedaleko Parku Saskiego (może ona nazywała się kiedyś Rzeczpospolitej?). Tam mnie zrewidowano, odbierając wszystko do depozytu. Po aresztowaniu przez UB w Biłgoraju to mnie już drugi raz spotkało. Tym razem zabrano mi rower, jeden zegarek na rękę, drugi kieszonkowy, złotą „cebulę”, otrzymaną kilka dni wcześniej od ojca w Poznaniu, złote wieczne pióro „Pelikan”, teczkę skórzaną i sporo pieniędzy, nie licząc już innych osobistych drobiazgów. Tym nie mniej udało mi się przemycić do więzienia złotą i ciężką dewizkę od kieszonkowego zegarka oraz kilka sztuk złotych, rosyjskich pięcio- i dziesięcio-

rublówek, zakupionych na wszelki wypadek jeszcze w czasie okupacji niemieckiej.

W gmachu UB wpakowano mnie do zakratowanej celi, w piwnicy dawnego Urzędu Skarbowego. W tej celi siedziało już dwunastu mężczyzn, mnie wepchnięto jako trzynastego (nomen omen!). Moi współwięźniowie wyraźnie się tego przerazili, bo „trzynastka” bywa podobno nieszczęśliwa. A więźniowie na ogół są bardzo zabobonni. Z miejsca nawiązałem z moimi towarzyszami niedoli bezpośredni kontakt, dowiadując się przy tym, jak tu obchodzą się z więźniami i czy bardzo biją. Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa nie cieszył się dobrą opinią pod tym względem. Pocieszono mnie, że obecnie mniej biją. Parę tygodni wstecz, to niektórzy „zarobili” i 12 uderzeń w pięty, podczas gdy skromniejszą dawką było 6 uderzeń (chińska tortura).

Aresztowany zostałem w sobotę, w którym to dniu i w niedzielę żadnych przesłuchań nie było. Sakiewkę ze złotem schowałem w miale węglowym, którego grube zwały leżały od lat na ziemi i były naszym „łożem” do spania. Nadszedł nieszczęsny dla mnie poniedziałek, 30 kwietnia*. Przed południem przyszedł po mnie milicjant i zaprowadził mnie na II piętro do pokoju przesłuchań. Przesłuchiwał mnie niewielkiego wzrostu porucznik Tarasiewicz². Początkowo przesłuchiwanie nie nastroczało większych trudności, bo do wszystkiego przyznawałem się, ponieważ władzom bezpieczeństwa wszystko już było od dawna wiadome z poprzednich przesłuchań, prowadzonych wcześniej w Biłgoraju. Nie było więc już czego ukrywać. Po naszej ucieczce z więzienia biłgorajskiego aresztowano jeszcze kapitanową Gebhardową, która przedtem przygotowała wszystkim uciekinierom fałszywe „Kenkarty”. Ja wiedziałem o tym, że kapitanowa Gebhardowa siedzi już w więzieniu na Zamku w Lublinie. Moja „Kenkarta” była przygotowana w Lublinie na nazwisko „Stefan Śremski”. Gdy por. Tarasiewicz zapytał, kto mi wyrobił lewą „Kenkartę”, ja ze spokojem odpowiedziałem:

– Kapitanowa Gebhardowa. Rozumowałem w ten sposób: Kapitanowa już siedziała, jeżeli wyrobiła „Kenkarty” dla 47 innych osób, można było na jej konto dorzucić jeszcze i tę moją – 48. Ale por. Tarasiewicz zareagował momentalnie na moją odpowiedź mówiąc:

– Nie, to nieprawda. Kto ci wyrobił „lewą Kenkartę”?

Powtórzyłem odpowiedź.

* Zdarzyło się to 14 maja, a nie 30 kwietnia 1945 r.

20. Więzienie mokotowskie

Nowy mój „opiekun” wsiadł razem ze mną do karetki więziennej i ruszyliśmy przed siebie. Gdzie? Zupełnie nie mogłem zorientować się, bo okienka były zasłonięte i w wozie było ciemno. Samochód jadąc naprzód, kilka razy skręcał to w jedną to w drugą stronę, ale ja zupełnie połapać się nie mogłem co do kierunku jazdy. W pewnej chwili samochód zwolnił, jeszcze raz skręcił w prawo i stanął. Zgrzytnęły jakieś żelazne wrota, samochód ruszył, skręcił jeszcze raz w prawo i znowu stanął. Ktoś z zewnątrz otworzył tylne drzwi karetki, a mój „opiekun” popchnął mnie ku wyjściu. Wychodząc z samochodu ujrzałem przed sobą jakiś duży budynek z ciemnoczerwonej cegły, z zamkniętymi masywnymi drzwiami wejściowymi i z wmurowaną po prawej stronie drzwi jakąś tablicą spiżową, na której wygrawerowany był napis mówiący, że któregoś lutego 1945 roku budynek ten został uwolniony spod jarzma niemieckiego... Dalej już nie zdążyłem doczytać do końca, bo drzwi do tego budynku zostały kluczem otwarte przez strażnika, a mój nieodłączny „anioł stróż” zdecydowanie popchnął mnie naprzód i za chwilę znalazłem się wewnątrz budynku, który okazał się wielkim więzieniem z prawdziwego zdarzenia, nowoczesnym i zupełnie nie przypominającym prymitywnego więzienia biłgorajskiego. Tylko ja ciągle nie wiedziałem w jakim znalazłem się mieście. Więzienie to, o potężnych i grubych murach, wewnątrz miało wszystkie urządzenia metalowe (schody, poręcze), klatka schodowa była ażurowa i z parteru można było dojrzeć, co się dzieje na wyższych piętrach (zdaje mi się, że to był 3-piętrowy budynek). Po załatwieniu formalności w biurze więziennym na parterze, mój dotychczasowy „opiekun” oddał mnie w ręce strażnika i ten po metalowych schodach zaprowadził mnie

na drugie piętro. Tam stanęliśmy w korytarzu, wzdłuż którego po obydwu stronach rozmieszczone były szeregi cel pozamykanych żelaznymi drzwiami. W każdych drzwiach umieszczony był wziernik, czyli tzw. judasz, zasłonięty metalową klapką.

Zatrzymaliśmy się przed jedną z tych cel i strażnik kazał mi rozebrać się. Po kolei zrzucałem z siebie wiatrówkę (strażnik ją dokładnie rewidował nie tylko po kieszeniach, ale obmacywał także kołnierz, miejsce przy miejscu i wszystkie szwy). Potem zdjąłem spodnie, z których powymowano wszystkie drobiazgi, następnie musiałem zdjąć koszulę i kalesony. Byłem już nagi, stałem tylko w skarpetkach, a w skarpetce, pod stopą lewej nogi, miałem umieszczony płaski woreczek ze złotem. I tutaj przechytryłem mojego strażnika! Po kolei podawałem mu spokojnie do ręki jeden ciuch po drugim, on je dokładnie obmacywał i zabierał nawet takie drobiazgi jak np. szpilkę krawiecką, utkniętą pod kołnierzem wiatrówki. Wreszcie doszliśmy do skarpetek. Najpierw zdjąłem skarpetkę z prawej nogi, podałem ją strażnikowi, ten niedbałym ruchem rzucił ją na stos ubraniowy, ja natomiast zdecydowanym ruchem nachyliłem się do lewej nogi udając, że chcę zdjąć i drugą skarpetkę, ale strażnik w tym momencie machnął już niedbale ręką i... ja już skarpety z lewej nogi nie zdjąłem. Złoto pozostało więc przy mnie, pomimo przeprowadzonej szczegółowo rewizji! Teraz musiałem znowu ubrać się, strażnik otworzył drzwi do celi i wepchnął mnie do niej, zamykając za mną drzwi na klucz. Najpierw pilnie rozejrzałem się po mojej celi-izolatce. Miała 3,5-4 m długości, chyba około 2,5 m szerokości, podłogę betonową, okienko małe i zakratowane, umieszczone na wysokości około 2 m tak, żeby nie można było przez nie wyglądać, chyba że stanęłoby się na blacie stolika (o wymiarach około 50 x 50 cm), wmurowanego w ścianę pod okienkiem. Poniżej stolika wmurowany był w ścianę blat taboretu do siedzenia. Po prawej stronie dłuższej ściany wmurowane w nią było żelazne łóżko z metalowymi sprężynami. Łóżko to, dzięki zawiasom, było składane na dzień płasko do ściany tak, że w ciągu dnia nie można było z niego korzystać, a opuszczał je kluczem tylko strażnik wieczorem o godz. 22⁰⁰. Po prawej stronie celi, bliżej drzwi, wmurowana w ścianę była jeszcze niewielka półka, na której stała blaszana miska do jedzenia, kubek metalowy i aluminiowa łyżka. W celi więc nie było ani jednego mebla ruchomego. Sądząc po niszy okiennej, grubość zewnętrznych murów więziennych była dość znaczna – 60-70 cm, dlatego chociaż to był już maj, w celi pa-

21. Wyjście z więzienia

Odkąd znalazłem się w celi wieloosobowej, coraz częściej mówiło się o spodziewanej przez więźniów amnestii (tzw. mikołajczykowskiej)¹. I rzeczywiście, 29 sierpnia 1945 roku wywołano z naszej celi kilka nazwisk do zwolnienia, a następnego dnia wśród wywołanych do zwolnienia znalazło się także i moje nazwisko. Wskoczyłem z celi na korytarz jak z procy, następnie w kancelarii otrzymałem mały, pomarańczowy świstek, stwierdzający zwolnienie mnie z więzienia. Poza tym zwrócono mi „depozyt”, którego odbiór musiałem potwierdzić własnoręcznym podpisem. Ale ten „depozyt” okazał się bardzo nikły, bowiem zawierał tylko starą teczkę skórzaną i jedną brudną chusteczkę do nosa. A przecież jeszcze w Lublinie UB zabrało mi rower, większą ilość gotówki, zegarek na rękę „Tissot”, pamiątkowy złoty zegarek kieszonkowy, złote wieczne pióro „Pelikan”, ołówek automatyczny „Pelikan” i wiele różnych osobistych drobiazgów. W czasie rozprawy sądowej, kiedy odczytywano mi wyrok 5-ciu lat więzienia, zaznaczono równocześnie, że nie ulegnie konfiskacie nic z mojego stanu majątkowego. W kancelarii więziennej nikt nie potrafił mi wyjaśnić co stało się z moimi rzeczami i polecono mi udać się po wyjaśnienie do ministerstwa bezpieczeństwa, mieszczącego się w Warszawie na Pradze. Oszołomiony odzyskaną wolnością, ale bez grosza przy duszy, w pogodny, sierpniowy dzień przed południem wyszedłem na ulice Warszawy, której ruiny po zakończeniu wojny oglądałem po raz pierwszy. Postanowiłem najpierw z ulicy Rakowieckiej udać się na Pragę, by w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego upomnieć się o zabrany mi depozyt. Idąc już ulicą Marszałkowską, nagle spotkałem pierwszego znajomego, Marca juniora, który też związany był z biłgorajskim oddziałem „Społem” i dobrze wiedział o moim aresz-

towaniu. Był tak wzruszony tym spotkaniem, że chciał mi koniecznie zrobić jakąś przyjemność, a że dzień był pogodny i ciepły, młody Marzec kupił mi z wózka lodziarskiego, stojącego na chodniku, porcję lodów. Mnie wprawdzie rozum dyktował jak najbardziej posuniętą teraz ostrożność w przyjmowaniu rozmaitych pokarmów, ale znowu z drugiej strony instynkt głodu odznaczał się potworną żarłocznością. Bez wahania przyjąłem ofiarowaną mi porcję lodów, bo one zawierały cukier, którego mój organizm nie otrzymywał od 4 miesięcy. Po rozejściu się z moim znajomym pomaszerowałem śmiało do ministerstwa i tam upomniałem się o swój depozyt. Ale urzędniczka pokazała mi w zeszytcie szkolnym wypisany zwykłym ołówkiem wykaz odebranych mi w Lublinie przedmiotów, jednakże ja zauważyłem, że większość pozycji została wymazana gumką, a pozostawiono tylko teczkę skórzaną i chusteczkę do nosa, które zwrócono mi przy opuszczaniu więzienia. Po wyjaśnieniu urzędniczki, że przecież depozyt został mi zwrócony, opuściłem jak niepyszny gmach ministerstwa bezpieczeństwa. Do sprawy zwrotu zabranych mi przedmiotów przez władze bezpieczeństwa wróciłem jeszcze raz, już po przyjeździe do Poznania. Napisałem wtedy list do ministerstwa, prosząc o rozpatrzenie mojej sprawy i zwrócenie mi tego wszystkiego, co mi zabrało UB w Biłgoraju, a później UB w Lublinie. Ministerstwo długo mi nie odpowiadało, wreszcie po upływie pół roku otrzymałem krótkie pismo wyjaśniające, że wg posiadanych przez ministerstwo bezpieczeństwa danych depozyt został mi w całości oddany². Jeśli jest inaczej, należy osobiście zgłosić się do ministerstwa. No, ja już wolałem nie ryzykować wyprawy w obawie, że mógłbym już z tego ministerstwa w ogóle nie powrócić do domu...

Opuściwszy więc ministerstwo na Pradze, zacząłem odwiedzać kolejne sklepiki z pieczywem, pokazując wszędzie zaświadczenie o zwolnieniu mnie z więzienia i żebrząc o kawałek chleba czy bułki (nie miałem pieniędzy!). Nikt mi wtedy nie odmówił pomocy i coraz to dostawałem bułkę lub kromkę chleba. Ale głód ciągle dokuczał mi bardzo i ja bez przerwy myślałem tylko o jedzeniu i o jego zdobyciu. Z najszczodroblewszą pomocą przyszli mi w pewnym momencie trzej pijacy zataczający się przy kiosku, popijający z musztardówek wódkę i zagryzając ją kielbasą i kiszonymi ogórkami. Przez jakiś czas przypatrywałem im się z zazdrością, ślinka mi już pociekła i w pewnym momencie nie wytrzymałem nerwowo, tylko podszedłem do nich bliżej, prosząc o trochę jedzenia, tłumacząc jednocześnie, że

22. Wyjazd z Lublina do Poznania

Był to wtedy okres prawdziwej „wędrówki ludów” ze wschodu na zachód. Powołano do tego specjalny urząd – Polski Urząd Repatryacyjny (PUR), organizujący przewożenie ludzi wraz z dobytkiem żywym i martwym z terenów wschodnich na zachód, na tzw. ziemie odzyskane. „Wkręciłem się” do jednego z transportów PUR-u i w dwa tygodnie po przyjeździe na świat Zosi, a więc w połowie września 1945 roku jechaliśmy już wagonem towarowym na zachód w cztery osoby, wraz z całym naszym dobytkiem. Z PUR-u do naszej dyspozycji otrzymaliśmy połowę wagonu, a drugą połowę wagonu zajmowała jakaś inna rodzina zza Bugu. Nasz dobytek był niewielki, bo składały się na niego tylko walizy z bielizną i ubraniem, paki z książkami i sprzętem fotograficznym oraz worki wypełnione suszem owocowym i grzybowym – pozostałość mojej suszarni w Nadrzeczcu. Mebli nie mieliśmy żadnych. Podróż pociągiem towarowym z Lublina do Poznania trwała wtedy kilka dni (chyba około czterech), bo komunikacja nie była jeszcze w pełni zorganizowana. Pociąg zatrzymywał się nieraz w szczerym polu, w pewnej odległości od jakiejś wioszczyny. Ludzie wtedy wysiadali, szli do widocznej z dala wsi, zdobywali coś do jedzenia, a kiedy parowóz zagwizdał na znak, że za kilka minut ruszy dalej, ludzie czym prędzej wracali do swoich wagonów. Kierownik pociągu nigdy nie spowodował wcześniejszego odjazdu zanim wszyscy pasażerowie, nie wrócili. Pamiętam, że pomiędzy kierownikiem pociągu, a pasażerami wytworzyła się miła atmosfera wzajemnej bezinteresowności i życzliwości.

Nasza Zosia leżała w swoim beciku bezpośrednio na workach z suszem owocowym. Zachowywała się bardzo spokojnie, nie płakała i głównie spała. Marysia miała wtedy jakieś kłopoty z piersią i nie

23. Pobyt w Poznaniu w latach 1945-1969

Natychmiast zabrałem się z niebywałą energią do pracy i zorganizowania naszego nowego życia. Dyrekcja Państwowej Szkoły Ogrodnictwa w Poznaniu przyjęła mnie z otwartymi ramionami jako wykładowcę przedmiotu „entomologia”. Równocześnie zostałem także wykładowcą entomologii w świeżo otwartym Państwowym Liceum Rolniczym w Poznaniu. Ale były to wtedy czasy, kiedy wynagrodzenie nauczycielskie zupełnie nie wystarczało na utrzymanie 4-osobowej rodziny. Moje pierwsze pobory wynosiły wtedy około 450 zł. Jednakże to mnie bynajmniej nie martwiło, bo rozpierała mnie wtedy radość życia i energia witalna kipiała we mnie od środka niesamowicie. Bezczynność kilku miesięcy spędzonych przeze mnie w murach więzennych zamieniła się teraz w istną furję pracy. Dwoilem się i troilem. Postarałem się o zdobycie trzeciego etatu: w charakterze inspektora ochrony roślin zaangażowano mnie w Wojewódzkiej Stacji Ochrony Roślin, działającej wtedy przy Wielkopolskiej Izbie Rolniczej (WIR). Terenem objętym działalnością WIR-u była wtedy cała Wielkopolska oraz dwa duże powiaty ziem zachodnich: zielonogórskie i gorzowskie, które później oddzieliły się administracyjnie od poznańskiego i zamieniły w samodzielne województwa. Funkcja wykładowcy w PSO oraz w Liceum Rolniczym nie przeszkadzała mi w równoczesnych jazdach po terenie w charakterze inspektora ochrony roślin. Sprawą należytej organizacji pracy było pogodzenie ze sobą tych wszystkich funkcji i obowiązków, a wynagrodzenie otrzymywane co miesiąc z trzech różnych instytucji wystarczało na „opędzenie” najważniejszych potrzeb naszego domu. Marysia zajmowała się przede wszystkim wychowywaniem dzieci (Jagusi i Zosi) oraz wzorowym

prowadzeniem gospodarstwa domowego, a ja pracowałem zarobkowo we wszystkie dni tygodnia, zarówno w „piątki jak i świętki”. Ponadto zorganizowałem sobie jeszcze jedno uboczne źródło zarobkowania. Będąc sam od dzieciństwa miłośnikiem książek, nastawiłem się na wyszukiwanie w najrozmaitszych antykwariatach całej Polski (a jeździłem po Polsce często służbowo) najwartościowszych książek niemieckich z dziedziny ochrony roślin, rolnictwa, ogrodnictwa, botaniki czy zoologii. Książki te, po opuszczeniu naszego kraju przez Niemców, zalegały nieraz w dużych ilościach



107. Poznań. Katarzyna Staskowa z córkami Marią i Heleną oraz wnuczką Zosią (lata 50. XX w.)



108. Helena Palińska ze swoimi siostrzenicami Jagusią, Zosią i Basią w ogrodzie przy ul. Szamotulskiej w Poznaniu (lata 50. XX w.)

24. Przejście z PSO do Uniwersytetu Poznańskiego

Lata 1945-1960 były latami mojej największej aktywności w pracy dydaktycznej, naukowej i publikacyjnej. W roku 1951, doskonała pod względem programowym jak i organizacyjnym, Państwowa Szkoła Ogrodnictwa w Poznaniu została przez ówczesne władze ludowe zupełnie zlikwidowana, bo nie mieściła się w nowym schemacie szkolnictwa zawodowego. Cały majątek materialny PSO, wraz z budynkami i terenem tzw. Ogrodów Szkolnych, został przejęty przez Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Poznańskiego, przy którym stworzono Studium Ogrodnicze. Rektorem Uniwersytetu był wtedy prof. dr Kazimierz Ajdukiewicz¹, który po zapoznaniu się z moją Pracownią Pomocy Naukowych i jej działalnością, powołał do życia Zakład Ochrony Roślin, a mnie powierzył kierownictwo tego Zakładu na etacie adiunkta. Odtąd już prowadziłem wykłady i ćwiczenia ze studentami Studium Ogrodniczego w zakresie entomologii, a prof. Karol Zaleski prowadził fitopatologię.

Wprawdzie byłem dawnym słuchaczem prof. Zaleskiego, razem pisywaliśmy i wydawaliśmy skrypty dla studentów, ale w pracy dydaktycznej różniliśmy się znacznie. Prof. Zaleski jako dydaktyk był typowym dogmatykiem, twardo uznając pewne „niepodważalne” stwierdzenia, ustalone przez znane w ówczesnym świecie naukowym postaci wielkich uczonych na miarę Pasteur'a, Sorauer'a i innych, a zwłaszcza naukowców amerykańskich, ponieważ pod ich kierunkiem on sam kształcił się w ramach przyznanego mu stypendium naukowego około 1930 roku w Stanach Zjednoczonych. Egzaminu zdawane u prof. Zaleskiego należały do tych trudniejszych na uczelni ze względu na wysokie wymagania stawiane przez profesora stu-

dentom, którzy musieli dokładnie powtarzać pewne stwierdzenia tak jak wykładowca je formułował. Szczegóły biograficzne dotyczące największych „ojców fitopatologii” trzeba było wymieniać punktami, w kolejności ustalonej przez profesora, a więc: data urodzenia, ukończenia gimnazjum, studiów wyższych, wszystkie tytuły naukowe itd., itd. Nie należy się więc dziwić, że studenci ze słabszą pamięcią oblewali egzamin z fitopatologii po kilka razy... Paradoxem przy tym było to, że prof. Zaleski miał wprawdzie bardzo duże wymagania w stosunku do studentów, ale nigdy nie stawiał stopnia „nie-dostatecznego” w indeksie, tylko odsyłał studenta do domu dla powtórnego przerobienia całego materiału. W ten sposób niektórzy przystępowali do egzaminu z fitopatologii 5, 6, 7, a nawet 8 razy, aż wreszcie profesor „wydusił” z nich to wymagane przez niego minimum na oceną „dostateczną”.

Natomiast zupełnie inne było moje podejście do spraw studenckich. Z jednej strony mój stosunek do młodzieży akademickiej był bardzo przychylny, niemal koleżeński, ale na egzaminie wymagałem odpowiedzi przede wszystkim inteligentnych, świadczących o właściwym poziomie rozumowania. Pytania zadawane przeze mnie były na ogół ogólnikowe (bynajmniej nie podchwytliwe), np. „Co pan/pani może mi powiedzieć o mszycach?” Sposób, w jaki dany delikwent rozwijał mi to zagadnienie, był dla mnie testem, wykazującym inteligencję i zasób wiadomości, jak również osobowość poszczególnych studentów. Starłem się być w ocenie studenta sprawiedliwy, nie kierując się żadnymi ubocznymi względami osobistymi. Nie miały u mnie żadnych względów studentki pięknie wymalowane, wystrojone i odsłaniające na krześle egzaminacyjnym uda swoich pięknych nóg. Nie miały też u mnie szczęścia typy ograniczone, czy zbyt pewne siebie, nawet jeśli należały do ZMP (Związku Młodzieży Polskiej, względnie już nawet do PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej)). Z tego powodu miałem nie raz do czynienia z sekretarzem uczelnianego POP-u (Podstawowej Organizacji Partyjnej), który bezskutecznie usiłował skłonić mnie do unieważnienia stopnia „nie-dostatecznego” w indeksie młodego i aktywnego członka partii. Mój przedmiot – entomologia, był pewnego rodzaju sitem selekcyjnym dla słabeuszy, którym udało się jakoś przemycić przez gęste sito chemii u Tadeusza Kosińskiego (słynna tzw. „kosa”) na I roku i fizjologii roślin u prof. Jana Wojciechowskiego na II roku.

25. Wyższa Szkoła Rolnicza w Poznaniu

Od września 1951 do 30 sierpnia 1955 roku pracowałem na Uniwersytecie Poznańskim na etacie adiunkta, w charakterze p.o. kierownika Zakładu Techniki Ochrony Roślin. W 1955 roku, w wyniku wspólnych starań prof. Heleny Nieć i moich przy Wyższej Szkole Rolniczej został stworzony i zorganizowany Wydział Ogrodniczy (dawny Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu Poznańskiego). Ja otrzymałem nominację na zastępcę profesora i zostałem kierownikiem Katedry Techniki Ochrony Roślin, a od roku 1956 do 1958 pełniłem także obowiązki prodziekana Wydziału Ogrodniczego. Wtedy był to okres „odwilży”, gdy rektorem uczelni po raz pierwszy wybrano bezpartyjnego prof. Kazimierza Gawęckiego¹. Za jego kadencji mnie się dobrze powodziło na uczelni. W roku 1957 odznaczony zostałem Złotym Krzyżem Zasługi, co było zupełnie nie do pomyślenia za czasów poprzedniego, partyjnego rektora, prof. M. Za jego kadencji rektorskiej doświadczyłem najwięcej kłopotów z władzami bezpieczeństwa.

Mylnym byłoby mniemanie, że po amnestyjnym wyjściu z więzienia skończyły się dla mnie kłopoty z władzami bezpieczeństwa Polski Ludowej. Do pierwszego spotkania z UB doszło zupełnie przypadkowo wiosną 1948 roku na terenie Gdyni. Chcąc omówić z Erykiem Zyberem możliwość wspólnego z nim spędzenia lata nad morzem, nad którym do tej pory jeszcze nie byliśmy, wybraliśmy się z Marysią do niego na Zielone Świątki do Gdańska. Nasz pociąg z Poznania przyjeżdżał do Gdańska wczesnym rankiem (około godz. 5⁰⁰ rano), a nie chcąc tak wcześnie budzić Zyberów, nie wysiedliśmy w Gdańsku, tylko pojechaliśmy dalej do Gdyni i tam wolnym kro-

26. Praca naukowa i społeczna

Po uwolnieniu się od koszmaru przymusowych kontaktów z „bezpieką”, rozpocząłem normalne życie, wolne już od „zmór” przesładujących mnie nocami. Przyszedł czerwiec 1956 i pamiętne wydarzenia poznańskie. Od października tego roku zaczęło się odczuwać „odwilż” w naszym życiu politycznym. Chcąc się zupełnie uwolnić od skutków dawnych moich „grzechów” politycznych, wystąpiłem w 1959 roku do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z prośbą o rehabilitację i wykreślenie mnie z rejestru skazanych. Do tego, oczywiście, dołączyłem opinię rektora uczelni na temat mojej działalności naukowej oraz, o dziwo, przychylną opinię uczelnianego POP-u na temat mojego „sprawowania” się w uczelni. Ponad pół roku czekałem na odpowiedź z ministerstwa. Wreszcie 4 kwietnia 1960 roku otrzymałem pismo z Sądu Wojskowego Okręgu Warszawskiego, w którym powiadomiono mnie o podjętym przez Najwyższy Sąd Wojskowy postanowieniu „zatarcia skazania Stefana Alwina z art. 1 dekr. z dnia 30.10.1944 o ochronie państwa z tym, że zatarcie to pociąga za sobą usunięcie wpisów o skazaniu z wszelkich rejestrów karanych”. Kamień mi wreszcie spadł z serca, bo nie musiałem już więcej pisać, w swoich ankietach personalnych – sądownie karany. Myliłby się jednak ten, kto by pomyślał, że to „wymazanie” mojego nazwiska z rejestru karanych spowodowało u władz bezpieczeństwa PRL puszczenie w niepamięć moich dawnych „grzechów” politycznych. O tym miałem przekonać się osobiście ponownie w latach 70-tych, kiedy przeniosłem się wraz z żoną do głuchoj wsi Bojadła (woj. zielonogórskie), o czym wspomnę dalej.

Na razie jednak, ze zdwojoną ze szczęścia energią, zabrałem się do pracy naukowej. W 1953 roku otworzyłem przewód na „kandyda-



119. Stefan Alwin (lata 50/60. XX w.)

ta nauk” (odpowiednik dzisiejszego przewodu doktorskiego, a wtedy był to stopień wzorowany na Związku Radzieckim). Moim promotorem został wyznaczony prof. Aleksander Kozikowski¹. Tytuł pracy kandydackiej brzmiał: „Migracje stonki ziemniaczanej w Polsce”. Zagadnieniem tym zajmowałem się od samego początku pojawienia się stonki ziemniaczanej na ziemiach polskich. Pracując jeszcze w 1946 roku w Wojewódzkiej Stacji Ochrony i Kwarantanny Roślin w Poznaniu, zostałem pierwszym w Polsce inspektorem do spraw stonki ziemniaczanej. Z tego ty-

tułu jeździłem na pierwsze odkryte w naszym kraju ognisko stonki ziemniaczanej pod Kielcami, później na drugie w Irenie pod Dębli-
nem, no i na różne konferencje stonkowe w Ministerstwie Rolnictwa. Kiedy już materiały z całej Polski miałem zebrane i opracowane, przystąpiłem do zdawania komisyjnych egzaminów doktorskich z języków obcych: niemieckiego i rosyjskiego. Obydwa zdałem na „bardzo dobrze”. Następny egzamin – „materializm dialektyczny” – miałem zdawać w Warszawie, ale do niego już nie doszło, bo utraciłem swojego promotora. Prof. Kozikowski poczuł się urażony, kiedy Komisja Weryfikacyjna w Warszawie zakwestionowała końcowy wynik egzaminu „bardzo dobry” jednego z promowanych przez niego kandydatów nauk. W następstwie tego prof. Kozikowski w ogóle zrezygnował z promowania dalszych kandydatów nauk. Były to czasy kadencji rektorskiej partyjnego prof. M. i uczelnia nie chciała mi wyznaczyć nowego promotora, wobec czego „zawisłem w próżni”. Poza tym władze nasze zrezygnowały w pewnym momencie z promowania kandydatów nauk i powrócono do dawnego systemu przewodów doktorskich.

W roku 1962 otworzyłem przewód doktorski, wybierając sobie jako promotora prof. Władysława Węgorka, ówczesnego rektora

27. Feralne lata 1960-1970

Jak wynika z poprzednich opisów okresu okupacyjnego i tuż pookupacyjnego, tę część mojego życia (1939-1945) spędziłem na Lubelszczyźnie. Okres ten obfitował w mnóstwo najrozmaitszych bardzo silnych przeżyć, dlatego przeżycia te wżarły się głęboko człowiekowi w serce i w pamięć. Myślam ciągle wracałem do tamtych odległych już czasów i miejsc, w których działy się najrozmaitsze sprawy i wydarzenia. Nic więc dziwnego, że w myśl powiedzenia, że „zbrodniarza zawsze ciągnie na miejsce zbrodni”, mnie przyciągały do siebie Biłgoraj, Nadrzecze, Rapy...

W 15 lat po wojnie, czyli w 1960 roku wybrałem się do Biłgoraja. Zobaczyłem go teraz już zupełnie innym miastem – odbudowanym i rozbudowanym. Za czasów wojennych, najwyższymi budynkami, poza kościołami, były jednopiętrowe kamieniczki, a teraz zobaczyłem paropiętrowe bloki mieszkalne, fabryki tekstylne itp. Ja przede wszystkim odszukiwałem i odnawiałem dawne znajomości, związane głównie z okresem konspiracji. Połowy znajomych już nie znalazłem: pomarli albo zostali w ten czy w inny sposób pomordowani. Tak np. Michał Sikorski z Rap, były żołnierz AK, który ratował mnie z różnych opresji po ucieczce z więzienia biłgorajskiego w 1945 roku, w latach 50-tych został zastrzelony w lesie, nie wiadomo przez kogo¹. W samym Biłgoraju z honorami gościła mnie rodzina Mańkowskich. On – dawny leśniczy z Nadrzecza, gdzie mieszkaliśmy przez większą część wojny, ona – organizatorka odbicia naszej Jagusi z konwoju niemieckiego, w czasie pacyfikacji Zamojszczyzny. A potem było spotkanie z synem Z., u którego rozpoczął swoje „występy gościnne” bandzior Antek. Najsilniejsze chyba wrażenie wywarła na mnie wizyta złożona przeze mnie w domu doktora Pojaska, dyrektora miejscowego Szpitala Powiatowego. Serdecznym

28. Przyjazd do Bojadeł

Odejście od nas Basi wpłynęło na całkowitą zmianę naszego życia. Pod wpływem silnego wstrząsu nerwowego u mnie odezwały się różne objawy powypadkowe, z których, zdawało się, że byłem już wyleczony. Powróciły zawroty głowy, zaburzenia w równowadze i ogólne rozkojarzenie. Nasz domowy lekarz, doktor Jagustyn, poradził nam, żeby całkowicie zmienić miejsce zamieszkania i opuścić Poznań, ażeby nie doprowadzić do utrwalonych zaburzeń psychicznych. Zdecydowaliśmy się na opuszczenie Poznania i przenieśliśmy się całkowicie do Bojadeł, pozostawiając w mieszkaniu przy ul. Szamotulskiej 52 Zosię z jej mężem Erwinem¹ i kilkumiesięcznym Marcinkiem. Komisja lekarska ZUS zaliczyła mnie do inwalidów II kategorii i z dniem 30 września 1969 roku Wyższa Szkoła Rolnicza rozwiązała ze mną stosunek służbowy.

Po przeniesieniu się do Bojadeł² zaszły w naszym życiu zasadnicze zmiany. Najpierw trzeba było nasz dotychczasowy tryb życia miejskiego przestawić na wiejski. Całkowita zmiana środowiska kosztowała nas wprawdzie dużo wysiłku, ale miała też duży plus: chcąc nie chcąc musieliśmy oderwać się od rozpamiętywania tragedii naszego życia, a zająć się kształtowaniem nowych warunków bytowania. Typowo wiejski domek trzeba było przystosować do naszych „miejskich” przyzwyczajień. A więc najpierw zainstalowaliśmy hydrofor, bo dotychczas wodę nosiło się ze studni. Następnie założyliśmy miejscową kanalizację, urządzając wewnątrz mieszkania łazienkę i ubikację. Wreszcie pomyśleliśmy o centralnym ogrzewaniu, jak również o zastąpieniu dotychczasowego płotu, zrobionego z buławianych drewnianych sztachetek, na płot z siatki drucianej. Podwórze wyłożyliśmy betonowymi płytkami, ażeby wnosić z dworu mniej brudu do mieszkania.

29. Śmierć żony

Nadeszła jesień 1986 roku. Jagusi i jej mężowi Maćkowi wypadł służbowy wyjazd do Niemiec. W takich przypadkach, gdy oboje rodzice wyjeżdżali, z reguły Jagusia korzystała z pomocy swojej mamy, czyli dla jej dzieci babci Marysi. Najmłodsza córka Jagusi i Maćka mała Marysia miała wtedy 3 lata, Bronia 7 lat, Tomek 14 lat i Agatka 18 lat. Chociaż Marysia nie czuła się najlepiej (była trochę przeziębiona) zdecydowała się pojechać do Gdańska i zająć dziećmi w czasie nieobecności ich rodziców. Minął już pierwszy tydzień pobytu Marysi w Gdańsku, pamiętam w niedzielę rozmawiałem z Marysią i po głosie wyczułem, że nie czuje się najlepiej. Zdecydowała, że od razu po



140. Jedno z ostatnich zdjęć Marii Alwinowej w Bojadłach z córką Zosią i wnuczkami: od lewej – Dorotką, Marysią i Bronką (1986)

30. Zjazdy moich byłych wychowanków

W mojej samotni ciągle mi brakowało drugiego człowieka... Moimi żywymi towarzyszami były tylko zwierzaki: pies Kubuś, kot Urban i kilkanaście kur. Zacząłem coraz częściej w myślach wracać do minionych czasów, kiedy razem z moimi Trampami wędrowaliśmy po różnych uroczych zakątkach Polski.

Od roku 1968, od śmierci Basi, kontakt mój z młodzieżą uczelnianą na pewien czas przerwał się zupełnie. Dopiero w 1971 roku zorganizowałem w Papierni (koło Leszna) pierwsze po przerwie obozowe, trzydniowe spotkanie z najbliższymi memu sercu Trampami, na które zjechało z całej Polski 36 moich wychowanków wraz ze swoim „żywcem” (tzn. dziećmi), a więc razem było 64 głów. W lesie, przy wieczornym ognisku nad jez. Brzeźnie, z moimi Trampami, którzy pracowali w Wyższej Szkole Rolniczej w Poznaniu, przeprowadzałem porachunki za to, że nie podtrzymali moich zwyczajów wciągania do wędrówek terenowych młodszych roczników studentów naszej uczelni. W swojej obronie tłumaczyli, że obecna młodzież to „gówniarze”, z którymi nie można się dogadać, ale ja w swoim rozumowaniu wiedziałem, że to nieprawda i to im wytknąłem mówiąc, że obecne Trampy kiedyś także były „gówniarzami”. Byłem przygotowany na to, że na skutek moich zarzutów nasze drogi mogą się rozjeść już na zawsze. Ale nie! Trampy otrząsnęli się z uczynionych im przeze mnie wymówek i... nadal utrzymują ze mną ścisły kontakt. Największą zasługę tutaj ma Bożena Smółowa (tzw. Bożydło), bo to ona organizuje w swoim domu regularne spotkania towarzyskie Trampów z okazji odbywających się w lutym każdego roku sesji

Indeks osób

- Ajdkiewicz Kazimierz 345, 351
Alwin Barbara, córka autora 336, 341, 377, 378, 381, 403
Alwin Irena, kuzynka autora 25
Alwin Jadwiga, córka autora, zob. Gromadzka Jadwiga
Alwin Leokadia, kuzynka autora 25
Alwin Łucja, z d. Słomińska, matka Szczepana 25
Alwin Maria, z d. Stasek, żona autora 5, 8, 30, 89-92, 95-99, 106, 129, 130, 132, 134, 137, 138, 142, 144, 150, 154, 159, 160, 168-171, 175, 177, 178, 183, 184-187, 191, 194, 197-199, 202, 204, 207, 208, 215, 216, 222, 223, 226, 231, 234, 238, 241, 244, 266, 267, 269, 278, 279, 282-285, 291, 294, 296, 310, 319, 327-330, 333-336, 349, 353, 354, 359, 372, 373, 376, 377, 382, 385, 390, 392, 399, 400, 402, 404, 406
Alwin Stanisław, brat Szczepana 25
Alwin Stanisław 101
Alwin Szczepan, ojciec autora 18, 22-26, 33, 48, 59, 294, 323, 328, 329, 334, 372
Alwin Wanda, matka autora 20, 21, 23-26, 33, 37, 38, 41, 48, 328, 329, 334, 372
Alwin Władysława, siostra Szczepana 25
Alwin Tadeusz, kuzyn autora 25
Alwin Zofia, córka autora, zob. Wąsowicz Zofia
Alwinowie Szczepan i Wanda, rodzice autora 5, 19, 30, 34, 42, 50, 84, 92, 144, 293, 321
Alwinowie (Maria i Stefan) 151, 168, 169, 171, 182, 183, 189, 202-205, 241, 274, 323, 324, 347, 355, 378, 383, 387
Andzia, siostra autora 16
Apolinarski, kolega autora 35
B. Antek (ps.^{*}) bandyta 211, 217, 220, 222-226, 229, 231, 371
Ballarin W. 34
Bartoszewska Janina zob. Roguska-Bartoszewska Janina
Bartoszewski Konrad „Wir”, „Zadora” 178, 188, 227, 228, 255, 258, 274, 276-278, 285-287, 289, 338
Bartoszkiewicz, kolega autora 35, 51
Bąk Marcin 280-282, 291, 292
Bąkowski Gerard 347, 367
Bąkowski Józef 367
Bernaciak Marian „Orlik” 305
Będziejewski Zygmunt „Borowicz” 243
Bieniek Stanisław 261
Bierut Bolesław 250

* ps. – pseudonim

- Blumhoff (lub Blumhof) Barbara 253, 264
- Blumhoff (lub Blumhof) Teofila 252, 266
- Błaszczak Edward „Grom” 178, 224-226, 228, 229, 243, 244, 255
- Błaszczak Jan 228
- Błaszczak Mieczysław 228
- Bogdan „W.”, członek AK 208, 210, 211
- Bojarski Stanisław zob. Bździuch Stanisław
- Bona, królowa polska 109, 115
- Brodowski Jan 227
- Bryk Tadeusz „Elyn” 243
- Bryła Antoni „Tom” 261
- Bryza Henryk 35
- Buczek Edward 8, 199, 216, 217, 220, 222, 224, 227, 228
- Buczek Jadwiga z d. Szubartowicz 227
- Buczek-Płachtowa Barbara 8, 227
- Burdajewicz Stanisław 405, 407
- Buryta, woźnica 291
- Butler Franciszek 146
- Bździuch (Bojarski) Stanisław 271, 340, 341, 343
- Bździuchowie, znajomi autora 249, 283-285
- Caban Ireneusz 180, 228
- Cepowscy Stefania i Kazimierz 388, 389
- Chłapowski Dezydery 245
- Chmarzyna, właścicielka księgarni 50
- Chwalibóg, kolega autora 35
- Cierpińska Anna 405
- Ciesielski Henryk 35
- „Czarny” (NN) 243
- Cz. Irena, koleżanka autora 87, 100
- Cz. T., „personalnik” 355
- D. Henryk, doktorant 365
- Dąbrowski Jan Henryk 245
- Deresiewicz Henryk „Chorąży” 298, 300-302, 304, 305
- Domaniewski Janusz 48, 55, 56
- Doroszewski Jerzy 77
- Dryja Antoni 66-68, 77
- Duda J., pracownik naukowy 62
- Duda-Gracz Jerzy 164
- Dyhern (Dyherrn), von, właściciele Bojadeł 397
- Ehrlich Ludwik „Farley” 180, 245
- Fabre Jean-Henri Casimir 50, 56
- Falkowski M., pracownik naukowy 63
- Fechnerowie Barbara i Bogdan 405
- Fejuś, kolega autora 97, 98
- Fieldorf August Emil „Nil” 322
- Filewicz Władysław 92, 93
- Firek Bolesław „Zadra” 243
- Fogg Mieczysław 406
- Frąk Kazimiera 328, 329
- Frąkowie, znajomi autora 137, 138, 319, 328
- Fulman Marian, biskup 151
- Fus Jadwiga 407
- Garbacz Krzysztof 10, 148, 164
- Gawęcki Kazimierz 353, 360
- Gąsiorek (Gąsiorowski), ogrodnik 61
- Gąsowski Jan 227
- Gebhardt Józef Kamil 290
- Gebhardt Józefa 285, 290, 298
- Ginter Zbigniew 68
- Globocnik Odilo 186, 193, 199, 215
- Głagowiec (lub Błogowiec) Józef 267, 275
- Głogowscy, właściciele Żółkiewki 150
- Głuski Tomasz Kazimierz 296
- Gniewkowski Józef Władysław „Bojar”, „Narbutt”, „Orsza”, „Poraj”, „Sambor” 177, 180-182, 268, 257, 261-263
- Goethe Johann Wolfgang 26
- Gołoński, zarządca u Zamoyskich 95
- Gorajscy, właściciele Biłgoraja 162

- Gorajski Adam 162
 Gordonow Wasyl 260
 Gorinow, kpt. NKWD 262
 Gorjaczkowski Włodzimierz 380
 Gościński Rajner 39, 52
 Goźdź, sołtys Nowego Stawu 95, 134
 Górka Łukasz 30
 Grabowscy, właściciele Prawiednik 145
 Grabowska Maria Urszula 145
 Grabski Władysław 78
 „Grom” zob. Błaszczak Edward
 Gromadzka Agata 382, 387, 388, 399
 Gromadzka Bronisława 388, 399
 Gromadzka Jadwiga z d. Alwin, córka autora 8, 144, 169, 170, 182, 183, 185, 187, 191-197, 199, 204, 205, 229, 231, 234, 241, 244, 246, 253, 279, 291, 292, 294, 296, 323, 327, 328, 335, 341, 361, 392, 399-401, 406
 Gromadzka Lucyna 7
 Gromadzka Maria 399
 Gromadzki Maciej 56, 399, 400
 Gromadzki Tomasz 7, 387, 399, 401
 Gruszecki Antoni 150
 Grygiel Jan 243
 Grzywnowie Józefa (Józia) i Stefan 205, 392
 Gumiński Tadeusz „Łodyga”, „Szyszka” „Tadeusz” 177, 180, 181, 251, 263, 268, 287, 321
 H. Władysław (ps.) 153, 154, 176, 177, 179, 211, 222, 251, 252, 268, 269, 285, 286, 290, 394
 Halina, bratowa Marii Alwin, 197
 Haller Józef 322
 Handtke, kolega autora 35
 Haniewicz Adam „Woyna” 243
 Hascewicz Włodzimierz „War” 228, 229, 243
 Hatton R. S. 93
 Hiacynta, siostra zakonna 30
 Himmler Heinrich 200
 Hlond August 38
 Hofman B., pracownik naukowy 63
 Hohmann Feliks 294
 Hoser Henryk Franciszek, biskup 145
 Hoserowie Piotr, Paweł i Wincenty 137, 145
 Hurich Jadwiga 392, 406, 407
 Hussar Bohdan 162, 163
 Hussar Janina 192, 196-197, 199
 Iglowicz, nauczyciel 35,
 Iksiński, funkcjonariusz SB 389-391
 Iwanicki, pracownik „Społem” 394
 Iwanowski Tadeusz „Mały”, „Matek”, „Miniaturka”, „Naęcz”, „Ney” 269, 276, 393-395
 J., członek AK 210, 211
 J., mieszkańcy Bojadeł 391
 Jachosz, gajowy 203, 204
 Jachoszowa, żona gajowego 392
 Jagustyn, lekarz 381
 „Jan”, właściwie „Ojciec Jan”, zob. Przysiężniak Franciszek
 Jan III Sobieski, król polski 296
 Janicki, inspektor 60
 Jasielski Leon 261
 Jelski Aleksander 111, 114
 Jezierska Alisia 407
 Jeż-Jarecki Władysław 149
 Jędryka Jadwiga 22-24,
 Józek (ps.), bandyta 208, 210, 211, 229
 K., jeden z pracowników WSR 360
 K., magistrant 366, 367
 „Kalina” zob. Markiewicz Edward
 Kalisz, nauczyciel 34
 Kamińska Janina 392
 Kamola Barbara 293, 300, 301, 409
 Kamolowie, znajomi autora z Lublina 137, 143, 144
 Karpińska Anna (Ampf Ida), matka Wandy Alwin 19-22, 38, 39
 Karpiński, ojciec Wandy Alwin 23

- Karpiński Władysław 24
 Kawecki Zbigniew 84, 85
 Kaźmierski, ksiądz 30
 Kiejstutowicz Zygmunt 110
 Kielich Helena 318, 324
 Kielich Janka 318
 Kielich Konstanty 317, 318, 323
 Kielczewscy, właściciele Prawiednik 145
 Kielczewski Józef 163
 Kleeberg Franciszek 115
 Klukowski Zygmunt 227, 263
 Kochmański Jan „Kruk” 261
 Kolb Roman 231
 Kolbe Alfons 39, 40, 53
 Kolbe Maksymilian Maria 40, 53
 Konopnicka Maria 65
 Kopeć Barbara „Ksantypa” 180
 Kopeć Lucjan „Radwan” 180, 188, 257
 Kosiński Tadeusz 346, 358, 359, 367, 369, 376
 Kościelny S., pracownik naukowy 62
 Kottwitz, von, rodzina właścicieli Bojadel 396
 Kozikowski Aleksander 363, 370
 „Kowal”, właściwie „Korab” zob. Krynicki Zbigniew
 Kowalow Grigorij 260
 Kraszewski Józef Ignacy 109
 Krause Krystyna 60,
 Krawiec A., pracownik naukowy 62
 Król, kolega autora 35
 Król, mieszkaniec Lisich Gór 281, 282
 Kryk Jan „Topola” 229, 247, 255, 256
 Krynicki Zbigniew „Korab” 180, 188, 268, 275, 278-290
 Kryńscy, mieszkańcy Biłgoraja 392, 393
 Krut Mikołaj 272-275,
 Krzewski Eugeniusz 322
 Krzyżanowski, nauczyciel 35
 Kucharscy, mieszkańcy Biłgoraja 392
 Kucharska Halina 163, 193
 Kucharski Marian 193
 Kufel Robert, ksiądz 8
 Kukiełka, mieszkanka Nadrzecza 197, 204
 Kukiełka Bronisław 204, 205
 Kulczyński Stanisław 117, 342
 Kulesza Ziuta (Józefa) 97, 98
 „Kulski” (NN) 263
 Kuroń Jacek 31
 Kuryłło Antoni 68
 Kuryłowicz B., pracownik naukowy 62, 63, 71, 376
 Kurzyca, księgowy 377
 Lachawiec Edward „Konrad” 243
 Lampert Kurt 50, 51, 57
 Laszko Adam „Lech” 261
 Lermontow Michał 206
 Lewiński Józef „Lech” 263
 Leszczyńscy, właściciele Leszna 52
 Linke Antoni 62, 66, 71, 79, 81, 89
 Lobel (Lebell) Fritzko, von 397
 Lobel Balthasar, von 397
 Lubierska, żona nauczyciela 36,
 Lubierski, nauczyciel 36, 47
 Lubierski jr, gimnazjalista 36
 Lubomirska Teresa Izabela 78
 Luterek, kierownik „Społem” 153, 163
 Łapawczyk, szwagier ojca autora 25
 Łapawczyk Maryś 25
 Łapawczyk Leon 25
 M., rektor 353, 364
 M. Andrzej, ogrodnik 388
 Makiella Stanisław „Brzask” 262, 264
 Maksymiak Władysław 386, 397
 Makuch Józef 263
 Malanowski, kier. sklepu „Społem” 191
 Małysiak Stanisław, ksiądz 289
 Mańkowscy Mieczysław i Wiktoria 205, 371, 392
 Mańkowska Wiktoria z d. Kukiełka 169, 195, 202
 Mańkowski Mieczysław 153, 169, 175, 202, 274

- Mańkowski Waclaw 322
 Mańkowski Zygmunt 180, 228
 Markiewicz Edward „Kalina” 247, 253-255, 258
 Markiewicz Jerzy 200, 253, 256, 259, 260, 288
 Markwitz Helmut 35, 36
 Marzec, znajomy autora z Biłgoraja 325, 326
 Matraś Waclaw 163
 Matuszewska Zofia 17, 30
 Matuszewski Seweryn 30
 Mazurek Bronisław „Borowy” 261
 Mazurkiewicz Jan „Radosław” 286, 290, 316, 321, 322, 337
 Miąc Hieronim „Korsarz” 228, 255
 Michoński Edward „Lis” 262
 Mielniczak Franciszek „Jeż” 287, 288
 Mikliński Cezary „Szwarcopf” 243
 Mikołaj z Prawiednik 145
 Miłaszewska Wanda 108, 124
 Mioduszewski Bożysław 153
 Młynarz Katarzyna 182
 Modlibowska Irena 87-89, 92-94, 361
 Modlibowska Wanda 88, 94
 Moldenhawer K., nauczyciel akademicki 63
 Moraczewski Jędrzej 78
 „Mur” (NN) 263, 321
 „Murzynek” zob. Słowik Edward
 Mużacz Czesław „Selim” 180
 Müller, turystka z Niemiec 390, 391
- Nadolny Tadeusz 89
 Neuman, ciotka autora 61
 Neuman Maria 61, 87
 Neumann Marianna i Harald 391, 392
 Neumann Selke 392
 „Ney” zob. Iwanowski Tadeusz
 Nieć Helena 62, 74, 338, 353, 357-359, 376
 Niemczyk Edmund 88, 95
 Niewiadomscy Kazimiera i Witold 104
- Niewiadomski Witold 120, 121
 Nikisz, gimnazjalista 36
 Niżyński, lekarz 21
 Nowacka Wanda 405, 407
 Nowaczyk, kierownik Szkółek Miejskich w Poznaniu 61
 Nowakowski Stanisław 147, 162
 Nowakowski Edward 162
- O., pracownik WSR 366-368
 „O.” (ps.), dziewczyna Władysława H. 286
 Ochman Wiesław 164
 Okońscy, właściciele zakładu ogrodniczego 128
 Okońska Maria 128
 Olbryk Waclaw 305
 Olejnik, nauczyciel 34
 Orlakowicz, ród kniazowski 115
 Oleszczuk Stefania 327, 328
 „Orsza” zob. Gniewkowski Józef Władysław
 Osłowski Zenon 36
 Osmelak Janusz 406
 Ostrowski Feliks 61
 „Osunia” (NN) 263
- Quisling, inspektor 229
- Pacyk Kazimierz „Grom” 225, 226, 229
 Paczos Adolf 34, 35
 Pajdo Andrzej 261, 272
 Palińska Helena z d. Stasek 96, 133-135, 159, 160, 310, 336, 372, 373, 401
 Paluch Wiesław 227
 Pankiewicz Antoni „Milan” 263
 Papieska Krystyna z d. Deresz 202
 Pasteur Ludwik 66, 345
 Paul Sławomir „Sławek” 288
 Pawłowski K., pracownik naukowy 63
 „Pazur”, podchorąży (Piotrowski Tadeusz) 242, 246, 268
 „Pazur sierzant” 240, 242, 243, 268

- Peter Ignacy „Murzyn” 288
 Perz Władysław 180
 Perzyński Włodzimierz 34
 Pieniążek Szczepan 88, 95
 „Piłat” (NN) 274
 Pius XII, papież 199
 Plewka Jan 35, 45
 Płatonow Mikołaj 162
 Płatonow Teodora z d. Nowakowska 162
 Płatonow Walerian 162
 Płoszaj Urszula 205
 Pojasek J., żona Stanisława 392
 Pojasek Stanisław 185, 188, 189, 227, 283, 284, 371, 372, 392, 396,
 Poniatowski (minister) 103
 Potoccy, właściciele Biłgoraja 162
 Poździk Stefan „Wrzós” 288
 Prączyński Ignacy 123
 Prokopiuk Nikołaj 255
 Prus Stanisław „Adam” 243, 255
 Pruszyńscy, właściciele dóbr pod Sar-
 nami 29
 Przymuszała Hieronim 34, 36
 Przysiężniak Franciszek „Ojciec Jan”
 225, 229, 242, 243
 Pstrocki Antoni „Wacław” 243, 244
 Puchała Józef 163, 164
 Puchała Tomasz 163, 164
 Pudelscy Irena i Tadeusz 404
 Pudelska Irena 405
 Pudelski Tadeusz 350, 405, 407
 Putrament Jerzy 118
- R. Andrzej, ogrodnik 386
 Raczkowski Stanisław 376
 „Radosław” zob. Mazurkiewicz Jan
 Radzik Antoni „Orkisz” 288
 Radziwiłł Mikołaj 116
 Radziwiłł Stanisław Albert 110
 Radziwiłłowie, właściciele dóbr
 na Polesiu 115, 116
 Rąkowski Grzegorz 110, 113, 118
 Reiman B., pracownik naukowy 63
 Rębowski Bogumił 347
- Roguska-Bartoszewska Janina
 „Nina” 288
 Rola-Szadkowski Leonard 104, 121
 Rola-Żymierski Michał 262
 Romankow Włodzimierz 373
 Rostafiński Józef 46, 55
 Rózga Waclaw 261
 Różański Józef 320
 Różycki, pracownik „Społem” 192
 Różycki Gustaw 281
 Ruszkowski J., pracownik naukowy 63
 Rutkowski Jerzy 199, 205, 206
 Rzewski Zbigniew „Fernando” 244
- „S.” (NN), członek AK 210
 Sapięha Eustachy Kajetan 68-70, 78
 Sapięha Lew Jerzy 71, 78
 Schechtel-Charlampowicz Z. 63, 74,
 338
 Scheffer Reinhard, von 397
 Schiller Fryderyk 26
 Seitz Adalbert 379
 Sendlak-Kisz Stefania 392
 Serkowski Ludwik 275, 320, 321, 331
 Sędłak Józefa (Józia) 203, 205
 Sędłak Katarzyna (Kasia) 194, 195-
 197, 203-205
 Sędłak Rozalia 203, 205, 282, 283
 Sędłak Stanisława 205
 Sienkiewicz Henryk 36
 Sikorski Michał 247, 279, 371, 379,
 393
 Sikorski Paweł 247, 379, 393
 Sikorski Stanisław 392
 Simm Kazimierz 50, 57
 Singer Isaac Bashevis 149
 Sitowski Ludwik 340, 342
 Słowacki Juliusz 26
 Słowik Edward („Murzynek”) 265,
 267-269, 272-276, 288, 297, 305,
 395
 Smół Bożena 350, 403, 404
 Sobolewski, ksiądz 103
 Sokal Roman 253, 288
 Sokołowski Józef 261

- Sorauer Paul 345
 Spikowski, ksiądz 34
 St. Wanda, koleżanka autora 87
 Stadniccy, właściciele Prawiednik 145
 Stadnicki Juliusz 145
 Stalin Józef 250
 Stamirowski Antoni 150
 Stanisław, strażnik więzienia w Biłgoraju 288
 Stanisław August 147
 Stankiewicz Czesław 135
 Starzyński Stefan 128
 Stasek Helena, córka Katarzyny zob. Palińska Helena
 Stasek Jan, mąż Katarzyny 95
 Stasek Katarzyna z d. Urbaś 95, 134, 241, 336
 Stasek Leon, syn Katarzyny 95
 Stasek Maria, córka Katarzyny zob. Alwin Maria
 Stasek Michał, syn Katarzyny 95
 Stec Katarzyna, zob. Młynarz Katarzyna
 Stecki Konstanty Marian 11, 65, 76, 340
 Stefan Batory, król polski 109, 116, 162
 Stegliński Józef „Cord” 227, 229, 246, 258, 276, 379
 Strasburger Karol 129
 Straus Edward 62
 Strauss Franz Joseph 234, 236
 Suchan Aleksandra 189, 190, 203, 205, 229, 244
 Suchan Andrzej 187, 189, 196, 203-205, 229, 244
 Suchan Marian 159, 160, 175, 189, 190, 202, 203
 Suchanowie Aleksandra i Marian 187, 196
 Szafer Władysław 116
 Szamotulscy, właściciele części Szamotuł 30
 Szczukowie, właściciele Biłgoraja 162, 164
 Szczuka Marcin Leopold 164
 Szekspir Wiliam 206
 Szmidtowie Alicja i Stefan 164
 Sztumberk-Rychter Tadeusz, ps. „Żegota” 243, 246
 Szurkowski Leszek 373, 375, 379
 Szymankiewicz Edmund 137, 301, 302, 409, 410
 Szymankiewicz Krystyna 410
 Szymański Stanisław 35, 46
 „Szyszka” zob. Gumiński Tadeusz
 Śląski (Slaski) Jan 340, 343
 Świątkowski Waclaw 146
 Świdorski Bronisław 54
 Tarasiewicz zob. Deresiewicz Henryk
 Tarnowscy, właściciele Dzikowa 110
 Tasiemski Kazimierz 322
 Terlikowski Feliks Kazimierz 340, 342, 360
 Tokarz Bożena zob. Smół Bożena
 Tołpa Stanisław 110, 118
 „Topola” zob. Kryk Jan
 Tumidajski Kazimierz „Marcin” 254
 Turowski Jan „Norbert” 243
 „Urlich C.”, firma ogrodnicza 137, 145
 Ulrich Jan Bogumił 145
 „Ursus” (NN) 243
 W. Jan, ogrodnik 386
 Walczakowie, sąsiedzi Alwinów 126
 „War” zob. Hascewicz Włodzimierz
 Wasilewska Wanda „Wacek” 260
 Wąsowicz Dorota, wnuczka autora 388
 Wąsowicz Erwin, zięć autora 381, 382, 396
 Wąsowicz Marcin, wnuk autora 378, 381, 382, 387
 Wąsowicz Marta, wnuczka autora 387, 388
 Wąsowicz Zofia z d. Alwin, córka

- autora 8, 11, 12, 55, 93, 94, 119, 182, 329, 330, 333-336, 376, 378, 381, 388, 397, 399-401
- Wereszczyński Jakub 34, 45
- Wergiliusz 206
- Węgorzek Władysław „Baškiewicz” 239, 244, 245, 364-367
- Wierszyński Jerzy 376, 379
- Wilczkowiak Jadwiga 60
- Wilkomm Heinrich Moritz 50, 56
- Wilusz Zdzisław Józef „Rafał”, „Sęk” 239, 240, 245, 246
- „Wir” zob. Bartoszewski Konrad
- Wiślocki Antoni 163
- Wiśniewska Kicina 107
- Wiśniewska Zofia 133
- Witkowska (Jackowska) Aniela 60
- Witkowski Tadeusz 151
- Włodarczyk, ogrodnik 60
- Włodzimierz, brat autora 16
- Wnuk Rafał 262, 287
- Wnukowski Waclaw „Kabel” 243
- Wocke Erich 294, 296
- Wojciechowski Jan 346
- Wojciechowski Stanisław 206
- Wojtal Jan „Jeź” 262
- Wowczak J., dyrektor szkoły 33
- Woźna Łucja 367
- Wysocka-Owczarek Maria 350
- X. „Biały” 395
- Zajac Waclaw 305
- Zaleski Karol Wilhelm 63, 65, 69, 75, 81, 82, 89, 345, 346, 358
- Zamoyska Róża 202
- Zawadzki Stanisław 392
- Zembal Waclaw 59, 60, 62, 63, 72, 73, 81, 83, 84, 125, 293, 339, 367, 368
- „Zemsta” (NN) 243
- Zenon, jeden z funkcjonariuszy UB 356-360
- Zieleniewski Tadeusz 253, 254
- Ziółkowscy, znajomi Szczepana Alwina 60, 61
- Złamański Ryszard 188
- Złomaniec Piotr „Podlaski” 243
- Zofia (ps.), córka jednego z gospodarzy 214, 215, 217
- Zyber Eryk 137, 293, 294, 297, 353-355
- Zyberowie, znajomi autora 330, 353, 355
- Zygmunt August, król polski 109, 116
- Zygmunt Stary, król polski 116
- Żółkiewscy, właściciele Żółkiewki 150
- Żółkiewski Stanisław 150

Spis treści

Wprowadzenie	5
Wstęp	11
1. Dzieciństwo	15
2. Lata szkolne	33
3. Studia ogrodnicze w Poznaniu	59
4. Asystentura w Państwowej Szkole Ogrodniczej	81
5. Moje miłości	87
6. Wyprawy poleskie	97
7. Początek II wojny światowej	125
8. Pobyt w Lublinie	137
9. Praca w oddziale „Społem” w Biłgoraju	153
10. Nadrzecze i pierwsze dziecko	167
11. Amputacja nogi Marysi	183
12. Pacyfikacja Zamojszczyzny	191
13. Bandyckie „wizyty”	207
14. Przeżycia z Niemcami	231
15. „Oswobodzenie” Lubelszczyzny przez wojska radzieckie	247
16. Aresztowanie przez UB w Biłgoraju	265
17. Ucieczka z więzienia	277
18. Powrót do Lublina	291
19. Drugie spotkanie z władzami bezpieczeństwa	297
20. Więzienie mokotowskie	307
21. Wyjście z więzienia	325
22. Wyjazd z Lublina do Poznania	333
23. Pobyt w Poznaniu w latach 1945-1969	335

24. Przejście z PSO do Uniwersytetu Poznańskiego	345
25. Wyższa Szkoła Rolnicza w Poznaniu	353
26. Praca naukowa i społeczna	363
27. Feralne lata 1960-1970	371
28. Przyjazd do Bojadel	381
29. Śmierć żony	399
30. Zjazdy moich byłych wychowanków	403
Epilog	409
Spis ilustracji	413
Indeks osób	419
Bibliografia	427

TO JEST FRAGMENT KSIĄŻKI
WYDANEJ NAKŁADEM

AGENCJI WYDAWNICZEJ



Z CAŁĄ NASZĄ OFERTĄ WYDAWNICZĄ MOŻNA
ZAPOZNAĆ SIĘ NA STRONIE:

agencjawydawniczapdn.pl



..... OPOWIADAMY O HISTORII MIEJSC, RZECZY I LUDZI

..... DOKUMENTUJEMY, BY OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

..... NASZE KSIĄŻKI DAJĄ WIEDZĘ I REFLEKSJĘ

agencjaPDN
wydawnicza